

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 29 (1817) • 18-24 lipca 2025



**Zgliszczą
wyzwalającej
prawdy
str. 12**

BRAUNI



nie@redakcja.nie.com.pl

www.tygodniknie.pl

Tygodnik NIE

Tygodnik NIE

WOJNA DOMOWA

Prezydent Andrzej Duda żegna się z narodem, ulaskawiając Roberta Bąkiewicza. Ale tylko trochę. Bąkiewicz został skazany ponad dwa lata temu za sponiewieranie „Babci Kasi”: miał jej zapłacić 10 kaffi i przez rok wykonywać prace społeczne. Kasy nie zapłacił do dziś i prac też nie wykonał, a teraz pan prezydent postanowił, że becelować, owszem, musi i wyrok w papierach zostanie, ale prace trzeba mu odpuścić. W zasadzie rozumiemy tryb rozumowania Andrzeja Dudy: Bąkiewicz rzeczywiście wygląda na człowieka, dla którego jakakolwiek praca może być karą okrutną i nieludzką. Z drugiej strony – w tym częściowym ulaskawieniu rzuca się w oczy filozofia 10 lat urzędowania Andrzeja Dudy: przyjemność mieć i cnotę zachować. Niestety, z takiego myślenia przeważnie biorą się kurwy bez orgazmu.

Za Bąkiewiczem ujęli się też purpuraci. Na Jasnej Górze bp Antoni Długosz ogłosił, że Bąkiewicz broni nas przed „politykami z Berlina i Brukseli”, którzy „dążą do islamizacji Europy”. Po czym dodał: „Niektórzy nadal twierdzą, że dla biednych ludzi, którzy szukają swojego miejsca na ziemi, trzeba bezwarunkowo otworzyć granice i dać im socjal, bo tego wymaga miłosierdzie. Tyle że miłosierdzie nie oznacza naiwności, braku roztropności czy też po prostu zdrowego rozsądku”. Nie żebyśmy się uważali za biegłych w temacie, ale założyciel firmy p. Długosza mówił na przykład tak: „Idź, sprzedaj, co posiadasz, i rozdaj ubogim”. A także namawiał do nadstawiania drugiego policzka, oddawania płaszcza oraz modlenia się za tych, którzy nas prześladowają. Czy to nie znaczy przypadkiem, że Jezus był naiwny, nieroztropny i pozbawiony rozsądku? Tak tylko pytamy.

„Rządzą nami ludzie, którzy samych siebie określają jako Niemców” – ogłosił biskup o staropolskim nazwisku Mering podczas dorocznej imprezy Radia Maryja. Dodał też coś o „politycznych gangsterach”. Radek Sikorski poczuł się dotknięty i poszedł na skargę do Boba z Chicago: „Takie wypowiedzi biskupów, którzy działając jako przedstawiciele Konferencji Episkopatu Polski i tym samym reprezentując Kościół katolicki, podważają dobre stosunki polsko-niemieckie, oczerniają rząd i oznaczają wyraźne poparcie dla środowisk nacjonalistycznych. Prosimy o zaprzestanie ingerencji w wewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej Polskiej. Uprzejmie sugerujemy wyciągnięcie stosownych konsekwencji wobec biskupa Wiesława Meringa oraz biskupa Antoniego Długosza” – napisał Radek do Leona w *démarche*, wręczonym szefowi protokołu dyplomatycznego Watykanu. Kurwa, że też nikt wcześniej na to nie wpadł? 36 lat wpięrdzania się purpuratów w polską politykę i dopiero Sikorski wymyślił, komu się poskarżyć?

Przez granicę przedarła się grupka Afgańczyków, uzbrojona w niebezpieczne narzędzia w postaci kamieni, którymi obrzuciła zbliżający się polski partol. Jeden z żołnierzy poczuł się dotknięty do tego stopnia, że wywalił do przybłądy gumowymi kulami, a kiedy tamten upadł, zaczął go okładać kolbą karabinu. Bezczelny ciapaty ponoć odwinął się z lokcia i trafił naszego orła w oko, za co – donosi MON – jest ścigany z art. 223 §1 kk, czyli za czynną napaść na funkcjonariusza publicznego podczas pełnienia obowiązków służbowych. Początkowo media donosiły, że prokuratura wszczęła też postępowanie przeciwko żołnierzowi o przekroczenie uprawnień, bo okładanie kolbą leżącego jest jednak nie tego, ale wicepremier Kosiniak-Kamysz to zdementował: „Polski żołnierz został zaatakowany, moi drodzy, jestem po stronie polskiego wojska, po stronie polskich żołnierzy i po stronie bezpiecznej Polski, ja zawsze tej strony będę bronił”. Rada dla Bąkiewicza i innych faszoli: chcecie dopięrdolić ciapatemu – wstąpić do wojska. Władek was obroni.

A bicia ciapatych Polak uczył się od małego. W Wałbrzychu jakiś bachor powiedział tatusiowi, że chodził tu jeden taki czerniawy i filmował go komórką. Troskliwy tatuś dał ciapatemu w dziób, przyjechała policja i okazało się, że czerniawy w komórkę nie miał bachora, miał za to legalną pracę w lokalnej strefie ekonomicznej. Tego samego wieczora patrioci udali się pod hostel, w który mieszkają gasterbeiterzy, wyłowili inkryminowanego Paragwajczyka i spuścili mu wpięrdol, a budynek obrzucili racami. Z kolei w Nowem w Kujawsko-Pomorskiem awantura między zatrudnionymi w zakładach mięsnych Kolumbijczykami i lokalsami zakończyła się śmiercią Polaka, którego Kolumbijczyk ugodził nożem. Wobec czego wszystkich 75 Kolumbijczyków wyliczono z roboty, choć nie było do nich żadnych zastrzeżeń. Jak naucza biskup Długosz: nie można być naiwnym. Każdy niebiały jest podejrzany.

Rekonstrukcja rządu, jakże wyczekiwana przez lud, nie odbędzie się jednak 22 lipca. Została przesunięta na 23. Głos w tej sprawie zabrał Włodzimierz Czarzasty: „Wydaje mi się, że jedną datę już spaliłem przez własne niezrozumienie. Przepraszam za to nieporozumienie, mówiłem o 22 lipca, bo dodałem do piętnastego siedem dni, nie pomyślałem, że to się może niektórym źle kojarzyć; jednym dobrze, drugim źle, mało ważne”. Otóż bardzo ważne. Jak się stoi na czele formacji, która u swych korzeni miała obronę ludzi Polski Ludowej przed opluwaniem i upokorzeniem, przed kwestionowaniem sensu ich życia i pracy – to warto pamiętać, że nie wszyscy ze śpiewem na ustach przeszli z partii do biznesu i są tacy, dla których 22 lipca jest nadal datą ważną. Nie żebyśmy oczekiwali, że Włodzio to zrozumie.

Wszyscy strasznie się przejęli, że Grzegorz Braun powiedział, iż „Auschwitz z komorami gazowymi to niestety fejk”. Dyrektor Muzeum Auschwitz-Birkenau Piotr Cywiński i całe mnóstwo różnych innych oburzonych, w tym Anna Maria Żukowska oraz – nie widzieć czemu – aktywista LGBT Bartosz Staszewski, złożyli zawiadomienia, IPN wszczął śledztwo, sygnalizowanie cnoty trwa w najlepsze. Naszym zdaniem jednak mało kto zwrócił uwagę na istotę wypowiedzi Brauna: że komory gazowe to „niestety” fejk. Jeżeli Braun naprawdę wierzy, że w Oświęcimiu nie wymordowano 1,3 mln ludzi – czyż właściwym wyrażeniem nie byłoby „na szczęście”?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Czerwiec–lipiec 2013 r.



Świętego Męczennika

Gdy Silvio Berlusconi został skazany na siedem lat, nikt nie napisał, że z polskiego punktu widzenia skazano go za niewinność.

Wyobraźmy sobie, że Tusk rżnie i wypuszcza z aresztu 17-letnią panienkę. Polskie prawo uważa za przestępstwo dopiero seks z osobą poniżej 15. roku życia. Polski premier nie musi też osobiście telefonować, żeby ratować z komisariatu drobną złodziejkę. Wystarczy, że mgliście wyrazi tęsknotę za nią komukolwiek ze swojego dworu, a wola ta pobiegnie szybko w dół, samoczynnie, po wielu szczeblach znanych z dyskrekcji.

Świętego Teriego

Ukazała się w Polsce węgierska powieść Györgyego Spiró o polskim szefie teatru z XVIII w. Wojciechu Bogusławskim i intrygach przeciw niemu. Napisana została 30 lat temu jako powieść z kluczem o węgierskich ówczesnych stosunkach panujących w teatrach i w kraju. 30 lat temu, czyli za Kádára, wydano ją na Węgrzech. W Polsce przeczytała ją jedna osoba – Jerzy Robert Nowak, teraz herold ojca Rydyzka, w PRL członek kierownictwa Stronnictwa Demokratycznego. Nowak wysłał donos do władz, że książka jest antypolska.

Warszawskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysłało do Budapesztu oficjalną notę protestującą przeciw wydaniu powieści Spiró. Historycznej opinii Nowaka nikt nie potrafił bowiem zweryfikować. Węgierski nie był i nie jest językiem popularnym wśród rządzących Polską.

Wtenczas ja jako przedstawiciel rządu pojechałem z urzędową wizytą do Budapesztu. Wszyscy tamtejsi dygnitarze rozpoczęli rozmowy od pytania, dlaczego Polska protestuje przeciwko powieści o stosunkach w polskim teatrze 200 lat temu. Zawsze byłem niezłomnie lojalny wobec rządu, który reprezentowałem. Tym razem mówiłem jednak zirytowanym Węgrom: – Przepraszam, nasz minister spraw zagranicznych zwrócił.

Powieści nie przeczytałem. Gównu mnie obchodzi Bogusławski.

Świętego Martinena

W „Gazecie Polskiej” Tadeusz Płużański wznawia pamiętną z marca 1968 r. licytację, że Polacy pod Hitlerem ucierpieli bardziej niż Żydzi lub przynajmniej tak samo. („Biedni Niemcy patrzą na getto”, 25 czerwca). Autor cytuje książkę Richarda C. Lukasa, który pisze, że morderstwo Polaków też było holocaustem: „Polski naród traktowany był na równi z Żydami...”; „Żaden jednak naród nie wycierpiał tyle co Polacy”. Ten polsko-żydowski wyścig do krematoriów odbywał się właśnie w 1968 r.

W czasie okupacji Polacy nie pchali się razem z Żydami do komór gazowych, żeby mieć historyczny tytuł do równej liczby ofiar. Płużański: „W przybliżeniu połowę ofiar stanowili rodowici Polacy, pozostałe 50 procent polscy Żydzi”. Statystycznie rzeczywiście wychodzi 1:1. Autor nie dodaje jednak, że Żydów uchowało się tylko 10 procent, głównie w ZSRR, a rodowitych Polaków przeżyło 90 procent. Każdy pijak, rodowity czy wyrodny, wie, że różnicę mierzy się w procentach.

Świętego Tomasza

Notabene ta „Gazeta Polska” na jednej stronie chwali się rosnącą poczytnością, a na innej apeluje o pomoc pieniężną „w związku z kolejnymi wyrokami sądu nakazującymi naszej dziennikarce wpłatę w sumie 15 tys. (...) zwracamy się do państwa z prośbą o wsparcie Doroty Kani”. Cóż to za sądy? Hitlerowskie czy żydowskie? Taka gwiazda jak Kania nie ma 15 tys. zł? Niedługo dostała wsparcie kilkuset tysięcy. Nic jej nie zostało?

Świętego Florenta

Od „Gazety Polskiej” wprost nie mogę się oderwać. Aby usprawiedliwić bojówkę, która próbowała nie dopuścić do uniwersyteckiego wykładu Zygmunta Baumana, prowadzi ona kampanię antybau-

manową. Górska-Hejke napisała, że rówieśnicy młodego Baumana, żołnierze wyklęci (których Bauman wybił), byli nie mniej od niego inteligentni. Od razu wyobraziłem sobie sędziwego „Łupaszke” prowadzącego w Oxfordzie dysputę filozoficzną z Baumanem. Pomiatając mędrcom za to, że w młodości był milicjantem w Moskwie, żołnierzem I Armii i komunistą, oni jakby nie wiedzieli, na kogo skaczą. Że Bauman jest jednym z największych mędrków współczesnego świata i najwybitniejszym polskim myślicielem. Ze jego wykłady wygłaszane po angielsku są audio-wizualnie nagrywane i są powane przez setki uniwersytetów na całym świecie.

Karły reakcji, plując na Baumana, żądają, żeby przeproszał za komunistyczną przeszłość. Oni w życiu nie czytali ani linijki Baumana i nie sądzą, żeby potrafili go czytać, choć pisze z prostotą. Chcą, żeby przeproszał za swoje komuni-zowanie uczony, który od dziesiątek lat jest głębokim krytykiem lewicowego totalitaryzmu, a dziś mędrcom zajętym terazniejszością i przyszłością. Bauman publicznie wyjaśniał, dlaczego swego czasu był komunistą, dlaczego być nim przestał i czemu nie ma za to przeproszać. Od siebie dodam, że ta książkowa maniera przeproszania i oczekiwania przeprosin jest obrzydliwa. Chodzi w tym o upokorzenie się, a nie o analizę przeszłości.

W organie teorii spiskowych Paweł Tomczyk powiada, że skoro Bauman jest angielskim profesorem na emeryturze, to z tego powodu boi się oskarżać komunizm i siebie, bo musiałby oskarżać Anglię o paktowanie ze Stalinem, a wówczas straciłby emeryturę.

Gdzieś chyba kończy się polityka, a zaczyna psychiatria!

Tenże Tomczyk dziwi się, że „politruki” są profesorami w Anglii, mawia Baumanowi, że on twierdzi, że Polacy spośród innych ustrojów sami wybrali sobie stalinowski komunizm. Nazywa Baumana idiotą, który udaje pożytecznego idiotę i jest autory-

tetem w cudzysłowie. Określa go jako koniunkturalistę opłacanego przez Wielką Brytanię za milczenie (i za wykładanie). Bauman się boi, bo amerykańskie służby wiedzą o jego przeszłości – i tym podobne brednie.

Red. Sakiewicz, który zatwierdza do druku takie rzeczy, zapowiada, że jego PiS rządzić będzie Polską. Pod względem myślowym wołę stalinizm od sakiewizmu.

Świętej Marii Antoniny

Kaczyński chce spolonizować banki, statki i Unię Europejską. Big Ben, zamiast godzin, będzie wydzwaniał godzinki.

Znajoma w Londynie prowadzi Oxford dla psów z językami wykładowymi angielskim, rosyjskim, polskim, perskim i arabskim. Psy słuchające w domu języków dalekowschodnich są wykluczone. Żadnej jednak segregacji rasowej.

Absolwenci szczają i srajają zbiorowo na komendę, umięją też sobie komendy takie wydawać. Bez rozkazu nie tkną danych im smarkołyków, a na polecenie zjedzą najgorsze dla psa świństwo, jakim jest figa. Samodzielnie kupują gazety, chodzą i tańczą na dwóch łapach, spacerują gęsio, trzymając się zębami za ogony itp. Gdyby Jarosław Kaczyński chciał zatrudnić moją znajomą jako swoją ekspertkę od rządzenia, to niech zadzwoni.

Świętego unieważnionego

Program rządu PiS, który przedstawił Kaczyński, zawiera osobliwości. Jest pierwszym w świecie projektem rządzenia omawiającym sens ekspozycji jednego z projektowanych muzeów. Pragnie zlikwidować Ministerstwo Gospodarki, które realnie istnieje, a w zamian stworzyć ministerstwo gospodarki morskiej, bytu już umarłego. Notabene w programie nie ma sztandarowej obietnicy PiS – obniżenia na powrót wieku emerytalnego.

Realne z tego programu jest skupienie wielkiej liczby statków pod polską banderą. Wystarczy rozdać ją bez opłat i podatków – darmo. Nawet Burundi będzie biało-czerwone. □

PRASA ŚNIADANIOWA

● **Producent lodów Kaktus** jest krytykowany za reklamę hasłem „Środa dzień loda”. Teraz czekamy na ruch producentów kakao.

● **Warszawscy radni**, którzy domagali się ograniczenia sprzedaży alkoholu, zostali odwołani. Kto z wódką wojuje, ten od wódki ginie.

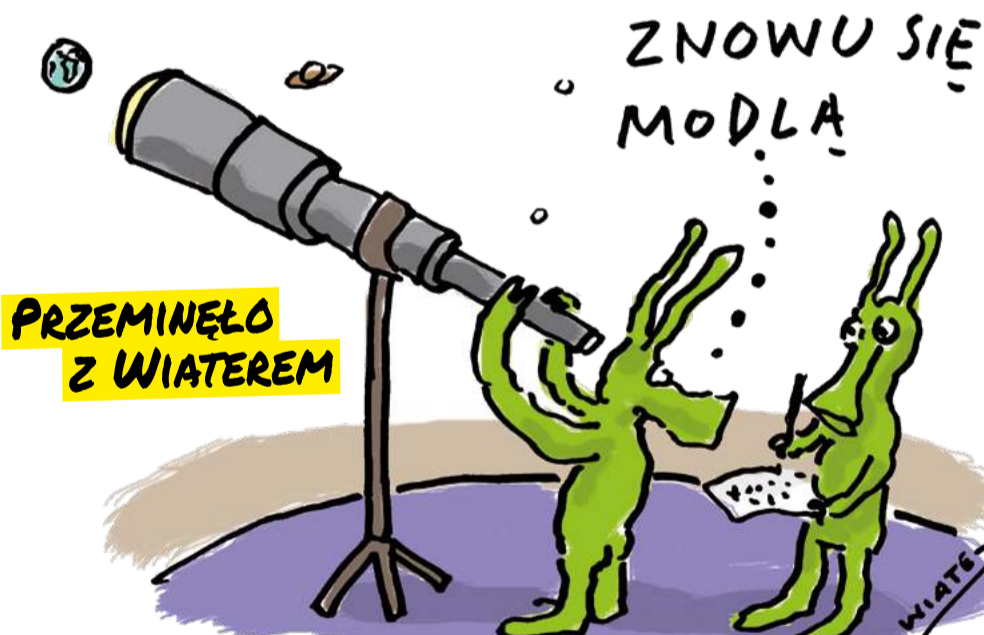
● **Ks. bp Tadeusz Lityński** powiedział, że Radio Maryja jest jak pogotowie ratunkowe. Dokładnie chodzi o pogotowie łódzkie polujące na skóry.

● **Iga Świątek** ma nadzieję, że polskie media dadzą jej spokój. Trzeba się było zająć genetyką molekularną.

● **Tomasz Sakiewicz** poinformował, że kolejny raz reporterzy TV Republika nie zostali wpuszczeni na sztab kryzysowy. W razie powodzi reporterzy TV Republika powinni ratować się modlitwą.

● **Ministerstwo Kultury** ruszyło z pracami nad całkowitą modernizacją polskich symboli narodowych. A co jest złego w słowach: z ziemi polskiej do Wolski?

MARTA M.



LISTONOSZ DONIOŚĆ

Stringi nie biało-czerwone

Bardzo bym prosił, żeby uświadomić Pana Profesora Jana Hartmana („Czerwone paski, czerwone stringi”, „NIE” nr 28/2025 – red.) grzecznie i z szacunkiem, że na świadectwach szkolnych najlepszych uczniów znajduje się pasek biało-czerwony, czyli w barwach narodowych. Porównywanie go ze stringami kłóci się z moim jednak szacunkiem do symboli narodowych.

Z poważaniem

Marek Józefaciuk, Żagań

Nadzieja na lepsze jutro

Uważam, że inna lepsza Polska jest możliwa do osiągnięcia. Skoro Iga Świątek wygrała finał Wimbledonu do zera, to my ludzie Lewicy też możemy zbudować Polskę dla wszystkich. Także dla katolików. Muszą oni jednak zaakceptować, że nasze racje, polskich Żydów, gejų i ateistów, też muszą być respektowane i przestrzegane. Do tego, aby tak się stało, warunkiem koniecznym jest świeckie państwo. I to katolicy muszą zrozumieć i szanować. Potrzebna jednak jest porządna, uczciwa i silna lewica. Na pewno nie z twarzą Czarzastego, Szejny, Wieczorka... Nie jest to proste zadanie. Jednak bez nadziei na lepsze jutro życie w naszej Polsce byłoby bez sensu.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

Potoczny kontra dobry

Przegrywamy walkę o rozsądek

Często mówimy, że ktoś jest rozsądny lub nie, przypisując danej wypowiedzi tę cechę lub jej odmawiając. Zwykle jednostki uznają, że same są rozsądne, a na równi rozsądni są ludzie podobni do nich. Ale kwestia rozsądku w skali społecznej nie jest wcale taka oczywista, ani tym bardziej prosta. Bo choćby dla bogobojnego katolika rozsądnie jest chrzczyć dzieci i wysyłać je potem na lekcje religii, dla ateisty zaś – coś dokładnie odwrotnego.

Dla wielu ludzi byłoby zaskakującym odkryciem, że rozsądek nie jest niczym danym z góry, lecz ma różne odmiany, o jego kształt trwają nieustannie walki społeczne, często bardzo widowiskowe i zażarte, a co więcej – toczone się permanentnie. Trzeba trochę rozjaśnić tę kwestię.

Włoski marksista Antonio Gramsci wprowadził kapitalne rozróżnienie na rozsądek potoczny i zdrowy. Ten pierwszy – zwany też wiedzą potoczną – wytwarza się w wyniku długotrwałej kulturalnej socjalizacji. Może on być mylny, a niekiedy zaciemniać realne problemy pod grubą warstwą kulturalnych przesądów. Zdrowy rozsądek natomiast jest krytycznym zaangażowaniem w aktualne problemy.

A teraz pokażmy to na aktualnym przykładzie.

Normalizacja rasizmu

„Wypierdalać, czarnuchy, do Afryki” – dąryła podły babsztyl w kierunku senegalskich artystów, którzy grali w Zamościu w ramach festiwalu „Eurofolk”. Zgodnie z tym, co mówił dziadek Freud, każda skrajność jest odbiciem „normalności”, tylko spotęgowanej.

Prezydent Zamościa Rafał Zwolak w swych mediach społecznościowych napisał: „Straż Miejska odbierała sygnały od agresywnych mieszkańców, którzy żądali interwencji, bo „po rynku chodzą imigranci”.

A zatem doszliśmy już do punktu, w którym po ulicach polskich miast nie mają prawa chodzić kolorowi. Rozsądek potoczny podpowiada ludziom: tu jest Polska, Polska dla Polaków, imigranci – a nie daj Boże czarni! – nie mają tu prawa wstępu.

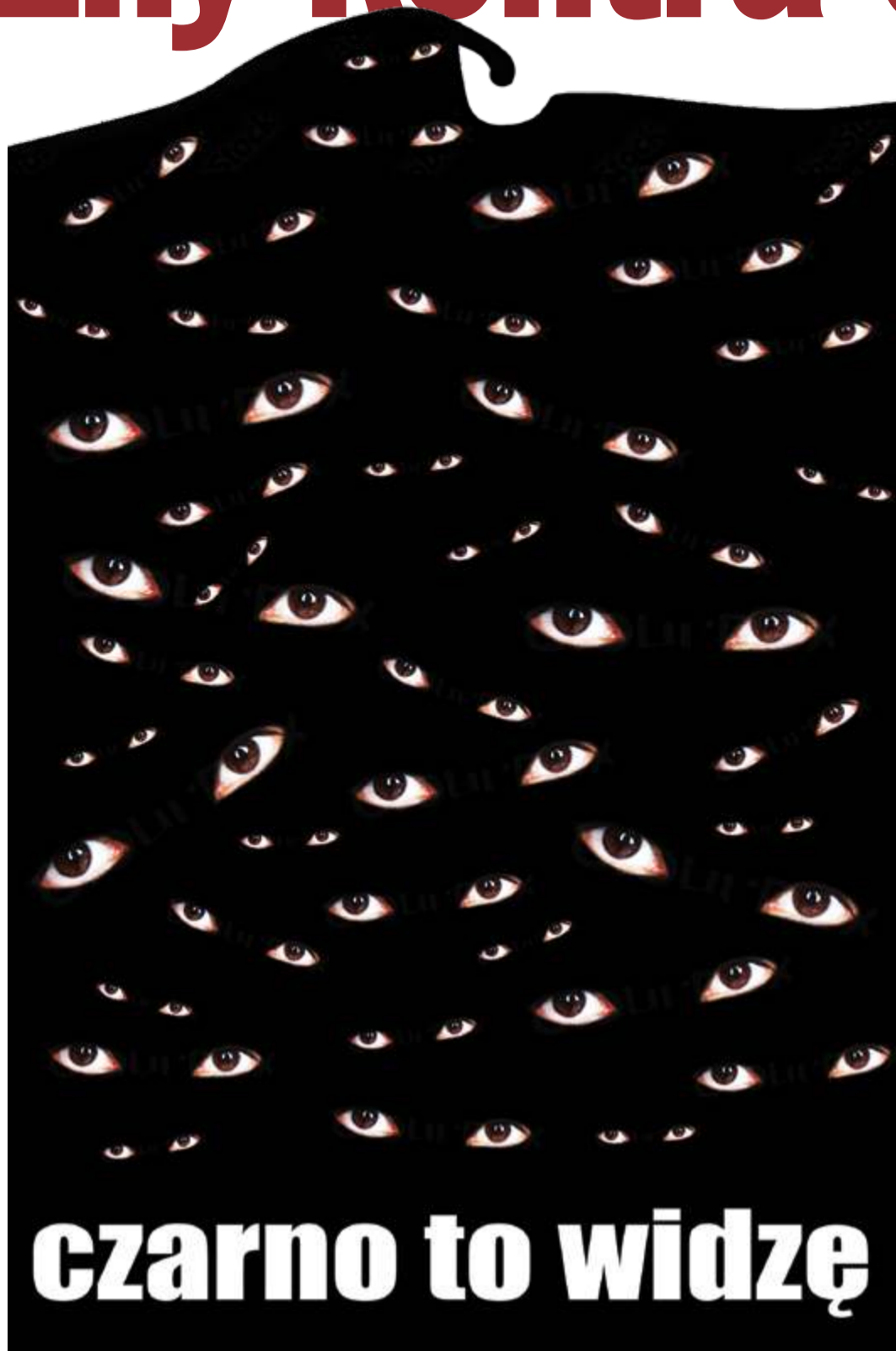
Zastanowiło mnie tu jedno – bo mam znajomych w Zamościu: zaraz po wejściu do Unii Europejskiej mnóstwo ludzi wyjechało za granicę, częstym kierunkiem była słoneczna Italia, w której jednak nikt nie rozkoszował się śródziemnomorskim klimatem, lecz zapierdalał na budowie lub (w przypadku kobiet) opiekował się staruszkami. Lokalna społeczność wiele zyskała na przelewach z Włoch, eurasy płynęły szerokim strumieniem do Zamościa i okolicznych miejscowości. Dziś rodziny tych, co zapierdalałi (lub nadal zapierdalają) na obczyźnie i są traktowani jak ludzie drugiej, jeśli nie trzeciej kategorii, pałają szczerą nienawiścią wobec innych, nawet jeśli są to artyści, którzy przemierzali tysiące kilometrów, by dostarczyć zamościanom rozrywki.

Rzecz nie w tym, żeby jakoś szczególnie wkurwiać się na durnych ludzi – jak wiadomo z lekcji biologii w szkole średniej, jeśli u danego gatunku rosną kły i pazury, drastycznie zmniejsza się mózg. Oni niczego nie wymyślili. Suflują im politycy, nie tylko Konfy i PiS-u, lecz również uśmiechniętej koalicji rządowej, z premierem Tuskiem na czele.

Parę miesięcy temu premier grzmiał: „Zlikwidujemy do minimum nielegalną imigrację w Polsce” i dodał stanowczo: „Nie ma mowy, żeby ktoś nielegalnie przedostał się do Polski, a my przymkniemy na to oko”. Na początku lipca przywrócił kontrolę graniczną z Niemcami i Litwą, bo wiadomo, obcy mogą się tu przedostać, a my ich nie chcemy. I jeszcze Tusk jebał PiS, że to za jego rządów wielu imigrantów tu przyjechało – legalnie czy nie, to bez znaczenia – bo to Platforma najmocniej obroni nas przed zalewem imigrantów. Na razie kolorowych, ale z czasem wyrzuci się – to ostateczna stawka w grze, co nie ulega wątpliwości – Ukraińców.

Rechot Balcerowicza i Szydło

Nie oczekuj zbawienia od społeczeństwa – te słowa guru zarządzania Petera Druckera po latach rządów realnych i ideologicznych Leszka Balcerowicza wszyscy mamy symbolicznie wydzierane na czołach. Przeciwny Polak uważa – skądinąd nie bez racji – że żyje w państwie z kartonu, a skoro owa instytucja niewiele mu daje, trzeba



oddawać jej jak najmniej z zarobionych przez siebie pieniędzy. Podatki to zło. Podnosi się je po cichu i niechętnie; obniża – z rozgłosem sukcesów Świątek czy Lewandowskiego, oznajmiając wszem i wobec dobrą nowinę taniego państwa.

Polacy to żadne społeczeństwo; zresztą idea społeczeństwa u nas wciąż się kojarzy z komuną, zdradą i kosmopolityzmem. Za to Polacy mają ambicję, aby być wspaniałym, cudownym i niezastąpionym Narodem (zawsze wielką literą). Jasne jest, że z tym wiąże się określone obowiązki narodowe, czyli nade wszystko życzenie śmierci wrogom ojczyzny, tym wszystkim lewakom, feministkom, pedalom i reszcie hołoty, której tu nie chcemy. Gwoli ścisłości, jak nie chcą wypierdalać – co byłoby idealne – mają siedzieć jak mysz pod miotłą, jak mawiają niektórzy brunatni patrioci, mieć w Polsce tyle do powiedzenia, co Żyd u Niemca za okupacji (tu z utęsknieniem czekam na przyszłą koalicję Kaczyńskiego, Mentzena i Brauna).

Neoliberalne ciagoty do niskich podatków i marnej jakości usług publicznych (nie licząc autostrad, najlepiej darmowych) od czasów 500 plus są uzupełnione pragnieniem bezpośrednich transferów socjalnych. Bo rządy premier Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego dowiodły, że można od państwa jakąś kasę wyszarpać. W końcu komu ma państwo dać jak nie swoim. PiS w jakimś głębokim sensie tego słowa poszedł drogą powiedzenia mojego dziadka, który ponad 30 lat temu powtarzał (a słyszałam to też od innych): komuna kradła, ale dawała ludziom kraść, a solidarych też kradną, ale ludziom nie dają.

Nie ma się więc co dziwić, że niezliczone afery na miliardy złotych, które z kasy publicznej trafiły do prywatnej kieszeni pisowców, nie zrobiły na milionach ludzi większego wrażenia. PiS co prawda kradnie, ale wszyscy politycy kradną, ale dał pińcet, 13. i 14. emeryturę, podniósł znacznie pensję minimalną. Jak mawiał Marks, nie świadomość kształtuje byt, lecz byt kształtuje świadomość...

Zauważmy jedno: rządzący w latach 2015–2023 nawet nie próbowali pieniędzy, które wydali na bezpośrednie transfery socjalne, wydać na polepszenie jakości usług publicznych – żłobków, przedszkoli, domów pomocy społecznej.

Uśmiechnięta koalicja idzie tym samym śladem – np. dając tzw. babciowe, które okazało się niczym innym jak publicznym dofinansowaniem prywatnych przedszkoli i żłobków. Taki prezent dla biznesu, jakże kochanego przez PO, Polskę 2050 i PSL...

Jebać i się nie bać

Mark Twain stwierdził kiedyś dowcipnie: wszyscy narzekają na pogodę, a nikt nie robi nic, aby ją zmienić. Dziś, w epoce zmian klimatycznych, te słowa nabrały nowego znaczenia, lecz w ostatniej instancji trzeba się zastano-

wić, co lewica może w tak niesprzyjających okolicznościach robić.

Odpowiedź jest prosta: robić swoje. Robić pracę u podstaw. Nie bać się własnego cienia i stawiać zacieklony opór fali brunatnej nienawiści, degeneracji usług publicznych, że o wydawaniu setek miliardów na zbrojenia nie wspomnę.

Jak przed laty śpiewał punkowy zespół ze Szczecina, Włochaty: „Nie ma przyszłości, ale jest nadzieja, w krzyku się rodzi, a w ciszy umiera”. Żyjemy w czasach pogardy i nienawiści, kiedy do głównego nurtu polskiej polityki wchodzi postać odrażająca, które w innych krajach zapewne siedziałyby nie w telewizjach ogólnokrajowych, lecz w celach więziennych, poddawane obowiązkowym kursom deradykalizacji. I znowu powiedzą, że czepiam się negacjonisty Zagłady Żydów Brauna, a być może będzie to już za dwa lata minister i człowiek zapewniający przyszłej koalicji rządzącej większość konstytucyjną... Wiele to mówi o ponurych czasach, jakie nadciągają naszymi burza.

Sprawa jest prosta jak pierdolenie. Żadnych ustępstw. Żadnego łaszenia się do brunatnych. Żadnego ulegania stereotypom społecznym. Żadnej taryfy ulgowej dla pogardy wobec inności w przestrzeni publicznej.

Żadnego wywyższania się nad zwykłych ludzi, często słabo wykształconych, harujących za grosze i wyzyskiwanych. Żadnego ustępowania pola klasizmowi – każda wykształcona wielkomiejska feministka musi być stawiana na równi z mężczyzną po zawodowce, któremu ledwo starcza na czynsz i żarcie.

Jak by powiedział Mao, czeka nas długi marsz. Ja ze swojej strony ślubuję: jeszcze usilniej będę jebał frajerów, którzy chcą Polski białej, pełnej żółci i państwa z dykty, które służy biznesmowi Brzosce, a nie jego ukraińskim kurierom. A na razie, niczym śp. Oleksy, dużo czytam, odpoczywam i będę, kurwa, jak brzytwa!

ZUZANNA JURCZYŃSKA

MÓZDZEK TYGODNIA

Trump zagroził, że 1 sierpnia obłożą 30-procentowym cłem towary sprowadzane do USA z Unii Europejskiej. Każdy, kto ma przynajmniej napaśtek oleju w głowie, wie, że pogroźki Trumpa są głupie i szkodliwe zarówno dla Amerykanów, jak i Europejczyków. Wychodzi na to, że politycy polskiej prawicy mają łby puste jak tytkwy.

„Śniadanie Rymanowskiego” w Polsacie News, niedziela rano. Celnej decyzji Trumpa bronią: Zbigniew Bogucki z PiS-u, Błażej Poboży z PiS-u, ale czasowo reprezentujący prezydenta Dudę, oraz Michał Wawer z Konfederacji. Zwłaszcza Bogucki (który ma zostać szefem kancelarii prezydenta Nawrockiego) ocieka bezrozumną wazeliną. Mówi, że temu, iż Trump rozpetał wojnę celną z UE, winni są kolejno:

- Unia Europejska;
- polska prezydencja w UE;
- polski rząd;
- Tusk.

My uważamy, że temu, iż Bogucki jest bałwanem, nie zawinił nikt. Nikt, oprócz Boguckiego.



Anżej Wieszatki!

Śmierć zdrajcom?

Pewnie wszyscy widzieli filmik, na którym lokator pałacu na Krakowskim Przedmieściu opowiada o bezczelnym warchołach i zdrajcach, którzy się panoszą, bo dawno żadnego nie powieszono. Klasa polityczna i niepolityczna nie posiadała się z oburzenia. Ja może trochę mniej, bo nie potrafię traktować tego pięćdziesięciolatka w krótkich spodenkach poważnie. Niemniej jednak sprawa nie jest wcale blaha. Fascynacja Andrzeja Dudy wieszaniem jest bowiem szczerą, a nie jest on wżak byle kim, lecz wciąż jeszcze prezydentem. Co za mina! Co za pasja! Iście prezydencki format.

Dla pewnej kategorii politycznych mitomanów szubienica to symbol narodowej sprawiedliwości. Zaprzęczy i zdrajcy, którzy sprawę narodową sprzedali za garść srebrników, z ciemiężcą kolaborując, zasługują tylko na jedno. Na pohybel z nimi! I nietrudno się domyślić, kogo chciałby nasz pan prezydent w mordę doktoryzowany wieszać. Rudego! A jakże! Ryżego sługusa Niemców, wnuka Wermachtu, brukselskiego lokajczyka! No bo kogóż?

Trochę straszno, trochę śmieszno. Trzeba by się sprawie nieco przypatrzyć, bo przecież wieszanie było, jest i będzie, podobnie jak zdrada. To nie są tylko słowa. Zapewne słusznie Radek Sikorski zwrócił Dudzie uwagę, że w Polsce kary śmierci nie ma i nie będzie, albowiem przystąpiliśmy do konwencji Rady Europy, która ją trwale wyklucza. „Irwale” to jednakże znaczy w skali dekad. W dłuższej skali żadne układy w polityce nie działają. Zawsze może się objawić zbawca narodu, który okaże się wieszatkiem, jak ruski car.

No właśnie, Iwan Groźny zabijał, bo bał się zdrajców i spiskowców. A im więcej ludzi zabił, tym więcej miał śmiertelnych wrogów, których miał powody się obawiać. Zabijał więc dalej. I nie tylko on. Tyrania ma to do siebie, że sama pozbawiona jest hamulców. Raz rozpoczęte polowanie na „wrogów ludu” nigdy się nie kończy, a raczej kończy się wraz z tyranią. Zresztą tyrani sami kończą na szafotach, naznaczając tych, którzy obejmują po nich władzę, piętnem politycznej przemocy.

Być może jednak – niezależnie od paranoi tyranów – bywa czasami taka zdrada, za którą faktycznie karać należy, i to surowo? Owszem, są przypadki dość banalne, jak wtedy, gdy ktoś sprzedaje tajemnice wojskowe demokratycznego państwa jego wrogom. Nie ma tu nic do rozważania. Jednakże bywa i tak, że nawet tacy, którzy zradzili w czysto prawnym znaczeniu tego wyrazu, w swoim przekonaniu poświęcili się pewnym ideałom. Mogą być w błędzie, ale przynajmniej ich postawa nie jest jednoznaczna. Przykładem małżeństwo Rosenberga, stracone w 1953 r. za przekazanie Rosji tajemnic broni nuklearnej. Albo Julian Assange, który na swoim portalu WikiLeaks ujawniał dokumenty dotyczące poczynań Amerykanów w Afganistanie. Nawet jeśli osąd moralny tych osób w ostatecznym rozrachunku wypadnie negatywnie, to nie są to zbrodniarze w zwykłym sensie tego słowa.

A jednak mówiąc o zdradzie, mamy na myśli właśnie rodzaj czystego i bezdyskusyjnego zła. Czy oprócz takich prostych przypadków jak szpiegowanie dla pieniędzy można je w ogóle znaleźć? Otóż na tym wic polega, że nie. Można znaleźć ludzi, którzy tego czy tamtego – jak z pewnością chciałby tego Duda – w czambuł potępia, domagając się najsurowszej kary, ale tak naprawdę ów realny bądź tylko symboliczny szafot dla zdrajcy temu właśnie służy, aby nie prowadzić trudnej rozmowy o niuansach, bądź nawet takiej, która po prostu narusza jakieś tabu. Tak naprawdę bowiem inwektywa „zdrajca” odnosi się do poglądów i działań politycznych związanych z sojuszami,

wzłaszcza międzynarodowymi. Żaden kraj nie istnieje w próżni, a większość jest na tyle mała, że siłą rzeczy zależy – i musi zależeć – od innych. I bywa, że nie jest to zależność dobrowolna. Ba, tak właśnie bywa najczęściej. Wtedy w naturalny sposób mamy w polityce stronnictwa, które nastawione są na korzyści wynikające z zależności, oraz takie, które domagają się maksimum suwerenności.

Tak było i z Polską. Byli w czasach zaborów patrioci zalecający taktyczny sojusz i lojalność wobec Niemiec oraz tacy, którzy skłaniali się ku Rosji. Byli i tacy, którzy chcieliby walczyć na wszystkich frontach. Gdy walka polityczna takich stronnictw przybiera na sile, to w pewnym momencie „ugodowcy” stają się „kolaborantami”, a potem „zdrajcami”. A jak już okrzyknie się ich zdrajcami, to w kolejnym kroku tego pochodu oskarżeń pojawia się wezwanie do zdrajców ukarania. Najlepiej tak skutecznego, żeby na polu ideologicznej walki fizycznie pozostali sami tylko „patrioci” i „niepodległościowcy”.

Politycy, którzy opowiadają się za współpracą z obcą potęgą, bardzo często uważają to za coś naturalnego. Bogaty burżuj z Krakowa, wybierający się do Wiednia, by tam posłować i brylować, a przy okazji trochę się obkupić po tamecznych sklepach, ani myślał, że ktoś mógłby mu zarzucić nielojalność wobec „sprawy polskiej”. Krakowska ulica też tak nie myślała. Podobnie uczniowie podchorążówki, którzy umyślili powstanie listopadowe, nie uważali się za zdrajców, nosząc mundury armii kraju podległego carowi. Po prostu życie jest skomplikowane, a jego ścieżki kręte.

Zeby było jeszcze ciekawiej, najzagorzalsi „niepodległościowcy” bywają jak najbardziej skorzy do składania hołdów obcej potędze.

Jeśli czyta nas pan Andrzej, to niech się zastanowi, jak jego obóz polityczny

traktuje sprawę suwerenności Polski w aspekcie jej niezależności od jak najbardziej obcego państwa, jakim jest Stolica Apostolska. Czyżby sam pan Andrzej nie klękał przed tą obcą, bądź co bądź, potęgą?

Czy nie forsował narzucanych przez nią praw?

A jak tam z panem Wojtyłą? Czy na pewno, gdy obywatel Polski zostaje monarchą absolutnym obcego państwa, a potem ze swoją własną ojczyzną zawiera traktat gwarantujący kosztowne przywileje owemu państwu – to wszystko jest w porządku i żadnego związku z tematem zdrady tu nie ma?

No właśnie. To, co jednemu wydaje się całkiem naturalne i usprawiedliwione, dla kogoś innego może być zdradą. I właśnie dlatego, panie Andrzeju, ja bym nie chciał posyłać na szafot tych, których sam uważam za zdrajców. Wystarczyłoby mi wykopanie ich z ulic, placów, pomników i szkół. Ale ja to, wiadomo, miękiszon. Nie to, co dzielny i niezłomny obrońca narodowej sprawy z Krakowskiego Przedmieścia.

JAN HARTMAN



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Wyobraź sobie, że nadchodzące wybory parlamentarne blok zwany demokratycznym przegrywa. To wyobrażenie jest dla mnie przykre, bo czuję się stronnikiem tej właśnie przegranej bańki. Nie muszę jednak w tym celu nadwyrażać swojej wyobraźni, bo mam przekonanie graniczące z pewnością, że niestety właśnie tak się stanie.

To przekonanie nie jest czczym defetyzmem czy depresyjnym pesymizmem – jest ono doznaniem oświecającym. Dopóki można było mieć nadzieję, że prawnicowy, kościółkowy i nacjonalistyczno-faszystowski blok polityczny zostanie pokonany, można było snuć alternatywne scenariusze, jak do tego doprowadzić i nakręcać się wzajemnie w żarliwych sporach o metody. Można było w ramach własnej bańki toczyć internetowe potyczki, czy Tusk da radę. Czy trzeba zrekonstruować rząd? Czy trzeba korygować politykę Koalicji Obywatelskiej w prawo czy w lewo? Czy kandydatem w wyborach prezydenckich powinien być Trzaskowski, czy Sikorski, a może Hołownia? A może tylko rzecznika nam brakowało? I itepe, itede. Ale jeśli zdamy sobie sprawę, że już nic nie da się z tym zrobić, a przegrana parlamentarna jest pewna – czyli czarna noc nieuniknienie zapada, pozwoli nam to pomyśleć o przyszłości całkiem inaczej – w jaśniejszych barwach. I to ma sens.

No, dobrze moja bańko – zanim opowiem Wam bajkę, w której będę kreślić te jasne promyki nadziei, spróbuję wymienić kilka przesłanek ilustrujących, że jesteśmy w wielkiej czarnej dupie.

Zacznijmy od tego, jakie talenty polityczne ma ekipa, która sprawuje władzę. Spójrzmy na kilka przykładów kreatywnej polityki z niedawnej przeszłości.

Czy nazwalibyście bystrymi ludźmi w sztabie Rafała Trzaskowskiego, którzy nie byli w stanie zauważyć, że w czasie kampanii jednym z kluczowych dla rozgrywki politycznej mediów stał się (chciał, nie chciał) Kanał Zero – kandydata na prezydenta Krzysztofa Sta-

Mamy

W pogoni za nadzieją

nowskiego? A jak na zaproszenie Stanowskiego zareagowały bystrzaki ze sztabu? Ja nie mogłam uwierzyć! Tenże sztab zamiast wystawić Trzaskowskiego wyemitował w Kanale Zero wideo z Romanem Giertychem, który tłumaczył, czemu jako katolik nie zgłasza na Nawrockiego. Chłopaki połapały się, że to błąd dopiero około 8 maja. Zgodziły się wreszcie, aby Trzaskowski udzielił wywiadu Stanowskiemu – ale nie w jego studiu, a w gabinecie Trzaskowskiego – w końcu nie będzie prezydent tłuł się po jakiś szemranych studiach, no nie?!

Czy mądrym można określić inne zagranie, tym razem w wykonaniu samego Tuska? Mianowicie w trakcie kampanii prezydenckiej premier ogłosił projekt deregulacji prawa dla biznesu. Intencja oczywiście wyborcza. Kogo wskazał jako postać wiodącą? Owszem Rafała, ale nie Rafała Trzaskowskiego, a biznesmena Rafała Brzoskę. Pyta ktoś o suspens? Chłopaki nie wygraają, bo nawet w prostym prowadzeniu kampanii się kompromitują. To tylko dwie mniej znane kampanijne wpadki – było ich znacznie więcej i znacznie głębsze, ale wymieniałam te dość obrazowe.

Jednak to nie kampanijne wpadki są decydującym indykatorem przyszłej klęski.

Oprzyszłej klęsce wyborczej zdecydował fakt, że Tusk i jego ekipa całkowicie oderwali się od rzeczywistości i pograżyli w koalicyjnej niemocy. Co mam na myśli? Niemoc – bo koalicja nie zdołała dowiedzieć do tej pory lwiej części tego, co ich obietnicami zmobilizowało do głosowania na nich wyborców

GADMAN ROGi

Jutro należy do nich

Jest dobrze. Już „zgłosiło się do nas 4-5 tysięcy osób”, chwali się komendant Ruchu Obrony Granic Robert Bąkiewicz w tygodniku „Sieci”.

Jest dobrze, ale wróg czuwa. Czujny komendant obawia się prowokatorów. Dlatego najpierw chce tych ochotników „trochę poznać, zanim zaprosimy ich do wspólnych patroli”. Nie musi się śpieszyć, bo „mamy do czynienia z procesem długofalowym, rozłożonym w czasie”.

Ruch Obrony Granic (ROG) nie będzie jednorazową akcją. „Rząd Donalda Tuska realizuje politykę niemiecką, a wejście w życie paktu migracyjnego dopiero nadejdzie” – prognozuje komendant ROG-u.

Chelpi się, że jego ruch to „ruch ludowy, który angażuje i rolnika, i robotnika, i prawnika. Bo przecież wszyscy jesteśmy zagrożeni”.

Dlatego w jego ruchu są też lekarze, nawet w stopniu „ordynatora”. Zgłaszają się „prawnicy, których kancelarie są gotowe do wspierania nas”. Zgłasza się też „dużo młodych ludzi”.

To ważne propagandowo, bo w tym sezonie politycznym media znowu stawiają na młodzież.

Zgłaszają się nawet niepełnoletni, ale tych na szturmowców do ROG-ów jeszcze nie biorą. Wzięli za to od razu „przedstawiciela Polonii z Teksasu”.

Bo to nadzieja na międzynarodową sekcję ROG-ów.

Wielu innych zagraniczników wspiera ROG-i finansowo albo „modli się” w intencji szturmowców.

Chcą broni

Najbardziej aktywni w akcjach ROG-ów są jednak emeryci. Bo mają czas na wysiadanie przy przejściach granicznych.

Najcenniejsi dla ruchu są emeryci mundurowi – przyznaje komendant Bąkiewicz. Zwłaszcza emeryci mundurowi, którzy „są jeszcze w sile wieku, ale już poza służbą, a chcą się zaangażować”. Tych chciałby komendant jak najszybciej uzbroić.

Stworzyć z nich ruch samoobrony ROG-ów. Bo choć „zdecydowana większość Polaków podziela obawę przed masową migracją”, to nie wszyscy jeszcze akceptują obecną działalność ROG-ów.

Przeciwko kontroli granic są przemitynci. Ci często stosują groźby wobec nieuzbrojonych szturmowców. Poza tym „obcokrajowcy mogą być

Bajki
dla myślicy.

przerąbane ale...

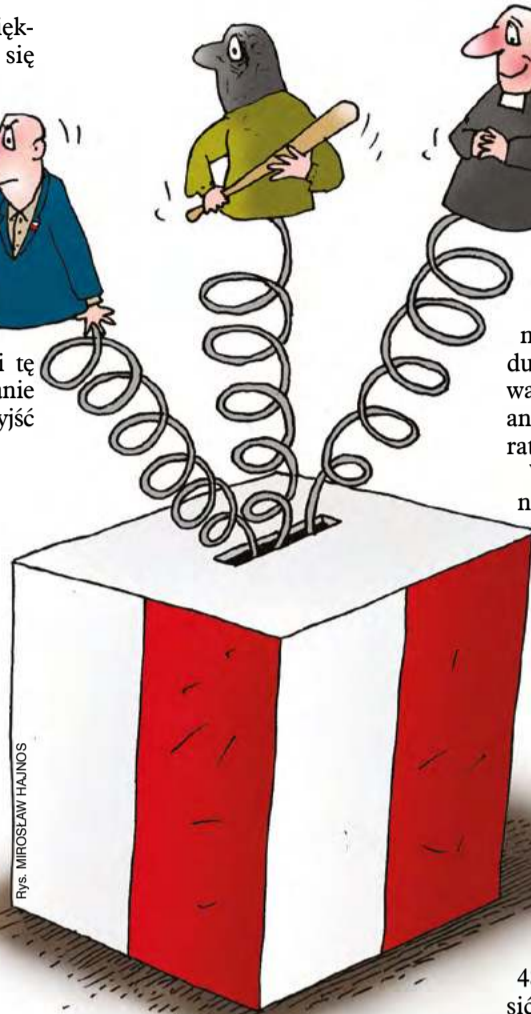
15 października 2023 r. Ale największym problemem jest odklejenie się rządzących od rzeczywistości.

Kompletnie nie dostrzegli antysystemowego i antyelitarnego nurtu wśród elektoratu: tego, że znaczny procent, w szczególności młodych wyborców, żąda radykalnej zmiany polityki i politycznej reprezentacji.

No cóż – muszę przyznać, że gdyby nawet rządzący dostrzegli tę zmianę, to przecież i tak nie są w stanie zarządzić nowej sytuacji czy choćby wyjść jej naprzeciw.

Nie zmieniają przecież z dnia na dzień swojej ideologii i tożsamości, nie zaczną dostrzegać problemów społecznych, na które do tej pory byli ślepi. Wielki tankowiec pełen ścieków neoliberalnej idei nie dokonana radykalnego zwrotu w wąskiej cieśninie politycznej rzeczywistości.

Bez szans. Widomymi dowodami kompletnego braku zrozumienia sytuacji było niedawne tzw. exposé premiera, wywołujące u większości elektoratu



Rys. MIROSLAW HAINOS

uśmieszki i grube rozczarowanie miłośnikami treści, a także żalostne zabiegi dotyczące reorganizacji rządu zamiast rewitalizacji polityki gospodarczej (np. budownictwo mieszkaniowe, inwestycje rozwojowe) i odbudowy zaniedbanych usług publicznych (np. służba zdrowia, nakłady na edukację i naukę, systemowe rozwiązania dotyczące

migracji, publiczny transport). W moim przekonaniu nawet cud polegający na odejściu z rządu Donalda Tuska nie pozwoli obecnej koalicji rządzącej uzyskać szans wyborczych w wyborach do parlamentu.

Koniecznien trzeba zauważyć, że zaciętrzewienie i radykalizacja walki politycznej pomiędzy stronami duopolu PO-PiS oraz ich bezproduktywna od wielu lat polityka doprowadziły do powstania i umocnienia się antysystemowego nastawienia elektoratu.

W mniejszym stopniu po lewej stronie (partia Razem na antysystemowość zdecydowała się nie tak dawno), w większym – po stronie radykalnej prawicy.

Antysystemowość to siła, której nie da się już zatrzymać. Zwłaszcza jeśli uświadomimy sobie, że z ostatnio przeprowadzonych badań Sadury i Sierakowskiego wynika, iż „wśród zwolenników KO 63 proc. jest gotowych poprzeć sojusz z Konfederacją, byle tylko nie dopuścić PiS do władzy” (straszne! Pomysleć, że z tymi ludźmi lewica pozostaje w rządzie!); „wśród wyborców Konfederacji 48 proc. woli wyrzucić stolik i wymusić przedterminowe wybory”; „prawica ma zdecydowaną przewagę w potencjalnych układach koalicyjnych, co może oznaczać dominację na kolejne dekady”...

Słabość Koalicji Obywatelskiej widoczna jest gołym okiem: „Niezależnie od orientacji politycznej większość wyborców zgadza się, że „obecny system polityczny jest tak niesprawny, iż nie da się go naprawić”; „Odsetek zgadzających się z tym stwierdzeniem

waha się od 56 proc. wśród wyborców Bieją od 68 proc. w elektoracie Brauna”. Swoją drogą, czyż nie jest osobliwe, że 56 proc. wyborców pani marszałek uważa, że system jest nie do naprawienia? Hm! Pani marszałek jest najwyraźniej odmiennego zdania.

„Różnica między prawicą a lewicą polega nie na intensywności krytyki systemu, ale na poszukiwanych rozwiązaniach”... Macie jeszcze jakieś wątpliwości co do efektów przyszłych wyborów parlamentarnych? Bo ja nie.

Na marginesie tego wątku chcę powiedzieć, że całkowicie zgadzam się ze słowami autorów przywołanych badań: „polaryzacja społeczna miasto-wieś pozostaje fundamentalnym podziałem. Prawdziwym źródłem polaryzacji politycznej jest niezasypany podział postziemiński między miastem a wsią, elitami a ludem. Dopóki liberalne rządy nie znajdą sposobu na zbudowanie zaufania ludu do elit poprzez program głębokich reform społecznych, każdy taki rząd prędzej czy później upadnie. Polityczna polaryzacja jest tylko pochodną tej głębszej społecznej rany”.

Tego obecna koalicja pod rządami Platformy Obywatelskiej nie jest w stanie dokonać, co jeszcze raz potwierdza wizję jej nadchodzącej klęski.

Jeśli tak jak ja masz serdecznie dość tej czarnej opowieści, to znaczy, że czas na jakieś światełko nadziei. Na tle nocy rzeczywistości namalować ją może tylko bajka.

A zatem:

Za siedmioma górami i siedmioma rzekami jest sobie kraina, w której żyją dobrzy, mądry ludzie. Większość z nich pragnie utrzymać sojusze zawarte z krajami graniczącymi od zachodu, południa i północy. Pragnie jedynie czuć się bezpiecznie przed agresywnymi zakusami ze strony wschodnich

sąsiadów. Większości z tego sprawa – bliższe są ideały praw człowieka oraz wolności osobistych, które nie przekraczają granicy stanowiącej krzywdę innych ludzi. Większość ufa, że od autokratyzmu lepsza jest demokracja, a od całkowitej swobody wolnego rynku ważniejsza jest moc demokratycznych instytucji i system usług społecznych: powszechna edukacja, ochrona zdrowia i system emerytalny.

Niestety, aspiracji i przekonani większości obywateli nie odzwierciedla dotychczasowy system partyjno-polityczny. W życiu tej społeczności przyczyniła zatem moment, w którym w kolejnych wyborach upada dotychczasowy bipolarny układ prawicowych sił politycznych. Posypało się. W nadchodzących wyborach wystąpi kilka partii reprezentujących bardziej czy mniej radykalną prawicę, jakieś ugrupowania centrowe i partia demokratycznego socjalizmu. Z sondaży wynika, że żadne z tych ugrupowań nie zdominuje sceny politycznej. Każdy obywatel, już bez presji wynikającej z „konieczności” powstrzymania wrogiej opcji politycznej, może w tych wyborach – po raz pierwszy od wielu lat – głosować zgodnie z przekonaniem, a nie przeciw lub na mniejsze zło. Nie ma już systemu duopolu, który trzeba było obalić. W efekcie kilka partii wchodzi do parlamentu. Ze względu na preferencje tego społeczeństwa i wyznawane przez nie wartości nie brakuje w nim partii centrowych i partii postępowej lewicy, które teraz – gdy każdy głosował zgodnie ze swoimi przekonaniem – są reprezentowane znacznie mocniej, niż bywało to w bipolarnym układzie.

Jako bajkopisarka nie wiem jednak, komu w tej bajce udało się uformować rząd. Ale nawet jeśli władzę przejęła prawica – co w tych warunkach nie jest pewne – to jej opozycja bez wątpienia jest silna.

Jedno jest pewne: bajka to promień nadziei na czarnym niebie. Bez bajek, tak jak bez nadziei, życie nie ma sensu.

ANNA GRODZKA

Kaczyńskiego

uzbrojeni” – przypomina komendant Bąkiewicz.

Na razie, aby wzmocnić obronę obrońców, komendant Bąkiewicz obiecał im zakupy sprzętu noktowizyjnego. Bo atak zwykle przychodzi nocą.

Ale wróg w dzień też nie próżnuje, bo „Niemcy permanentnie wypuszczają drony, które latają za nami, kiedy przemieszczamy się pomiędzy przejściami granicznymi. Chcemy więc odpowiedzieć tym samym wobec nich”.

Dlatego komendant liczy na werbunek ludzi, „którzy posługują się sprzętem elektronicznym”. Potrafią obserwować, podsłuchiwać i przede wszystkim obsługiwać drony.

Póki co jego szturmowcy bacznie obserwują straż graniczną. Komendant twierdzi, że ma w jej szeregach swych tajnych informatorów. Prawdziwych patriotów, choć dziś „straż graniczna podlega niemieckim służbom”.

Zaprzecza też, że jego szturmowcy bezprawnie zatrzymują samochody. Oni jedynie pilnie wpatrują się w nie. A kiedy napotkają jakiegoś migranta, to „nie używają siły” wobec niego. Jedynie „dokonują zatrzymania obywatelskiego”.

Łapia takich i potem przekazują ich policji.

Komendant Bąkiewicz nie chce tkwić jedynie w polskim zapłociu. Planuje już jesienny Kongres Międzynarodowy, aby „wymienić się doświadczeniami” z podobnymi ruchami szturmowymi. Ale to wymaga nie tylko przygotowań organizacyjnych, także „rozpoznanie tych organizacji”.

Bo teraz jego podkomendni nie mają pełnego rozeznania na rynku organizacji faszystujących. Nie chce on „wejść w sojusz z jakimiś grupami, które będą dla nas choćby wizerunkowym zagrożeniem”. Boi się zagranicznych faszystów i kryptonazioli.

Zwłaszcza że przygotowuje się też na represje wobec niego i jego rodziny ze strony rządu Tuska. Już czuje się potencjalnym męczennikiem.

Naród chce iluzji

Komendant Bąkiewicz korzysta na tym, że w straży granicznej jest teraz 1200 wakatów. I tej Straży trudno jest zamurować jednocześnie granice z Białorusią, Litwą, Niemcami i – co rząd Tuska planuje – także z Ukrainą. Kiedy podpisze ona rozejm z Rosją.

Komendant Bąkiewicz i jego ROG-i są nadal lekceważone przez polityków koalicji rządzącej i związane z nimi media. Bo ci uważają, że jest to ruch jedynie „kreowania iluzji”. Poza tym radykalizmem politycznym i chamstwem przebijają komendanta Bąkiewicza eurodeputowany Grzegorz Braun.

Poważni politycy traktują ruch Bąkiewicza jedynie jako chwilową polityczną wojnę hybrydową z rządem Tuska.

Taką hybrydową i wykreowaną grę polityczną opisuje były polityk PO-PiS-u, dziś publicysta „Sieci” Jan Maria Rokita.

„Najnowsze sondaże opinii są katastrofalne dla Platformy, a w kraju narastają nacjonalistyczne nastroje, zwłaszcza w młodym pokoleniu. Nic zatem dziwnego, że Jarosław Kaczyński i Krzysztof Bosak wszczęli wielką kampanię antyrządową, sugerując z przesadą, że na zachodniej granicy dzieją się jakieś nadzwyczajne rzeczy. Pogardliwie nacjonalistycznej retoryki zaczął używać lider Konfederacji, który do tej pory wyróżniał się racjonalnym językiem w debacie politycznej. Teraz oskarża Tuska, iż ten »robi z Polski pojemnik na odrzuty z Niemiec«, przytaczając przykład cofniętych do Polski ośmiu Somalijszyków. (...) Z kolei Kaczyński inspirował akcje Ruchu Obrony Granic, które

są widowiskowe i świetnie nadają się do mediów, ale raczej nie mają wpływu na postępowanie niemieckiej policji. Spycha też gabinet Tuska do jeszcze głębszej defensywny niż dotąd, forsując naśladującą Donald Trumpa ustawę o zakazie wjazdu do Polski dla obywateli państw Bliskiego Wschodu i Afryki” – pisze o tym teatrze politycznym w propisowskim tygodniku „Sieci”.

„Dziś chcemy modlić się za obrońców naszych granic, tych w mundurach, ale również wolontariuszy z Ruchu Obrony Granic, którzy bezinteresownie organizują patrole” – głosił na Jasnej Górze biskup senior Antoni Długosz z archidiecezji częstochowskiej. I wznosił modły „za obrońców granic”.

„Niektórzy nadal twierdzą, że biednym ludziom, którzy szukają swojego miejsca na ziemi, trzeba bezwarunkowo otworzyć granicę i dać im socjał, bo tego wymaga miłosierdzie. Tyle że miłosierdzie nie oznacza naiwności i braku roztropności” – tak biskup wykluczał „biednych ludzi” z wspólnoty chrystusowej w trakcie piątkowego Apelu Jasnogórskiego. Błogosławiąc katolicką robotę komendanta Bąkiewicza i jego szturmowców.

Łomot o poranku

Ten zaś już zapowiedział kontynuowanie swej działalności. I jeśli policjanci wyrzucą ich z przejść granicznych, to jego ludzie dalej będą obserwować wszelkie działania straży granicznej i innych służb mundurowych.

O każdej porze, bo wyposażą ich w noktowizory i inny sprzęt do obserwacji.

Być może będzie postulować, aby ROG-i stały się „obywatelskim” wzmoc-



Rys. MIROSLAW HAINOS

„Powstaje w naszych oczach armia wykolejeńców pochodzenia chłopkiego, robotniczego, inteligentnego:

olbrzymi, coraz liczniejszy margines, w coraz wyższej mierze składający się z ludzi młodych, pełnych młodzieńczego temperamentu, a skłonnych do wytwarzania w sobie »kompleksu mniejszej wartości« i łaknących zaznaczenia się w przeciwieństwie do tych, którzy mają pracę, którzy zarabiają, którzy cieszą się szacunkiem ogółu. Ludzie ci są dla faszyzmu potrzebni. Z nich bowiem rekrutuje on swoje bojówki, swoje czarne, brunatne czy też innego koloru koszule. Nie z kogo innego, jak z nieukończonych studentów, z beznadziejnych kandydatów do posad państwowych, i zwłaszcza ze zdemobilizowanych po wojnie rezerwistów” – pisał świetny, choć dziś już zapomniany polski socjolog Stefan Czarnowski w eseu „Ludzie zbędni w służbie przemocy”: „Te bojówki, złożone w znacznej części z synów proletariatu, rzucane były niejednokrotnie na dzielnie robotnicze, gdzie urządziły masakry. I szły na te wyprawy z entuzjazmem. Wygasło bowiem w nich poczucie solidarności klasowej, a tliła w nich tylko nienawiść do zatrudnionych »szczęśliwców« i ożywiało ich poczucie solidarności członków jednej bandy”...

Ruch Obrony Granic komendanta Bąkiewicza nie musi poprzestać na obronie granic państwowych. Znajdzie sobie inne granice do obrony. Moralności, wiary katolickiej, czystości polskiego narodu.

Dotychczasowa historia pokazuje, że podobne ROG-om oddziały szturmowe trudno zapędzać w róg partyjnej dyscypliny i poprawności.

Zwłaszcza kiedy takie „ROG-i” wystają ponad ich polityczne głowy.

Nie zdziwmy się, kiedy nad ranem obudzi nas łomotaniem.

Tym razem nie pałek walących w drzwi.

Lecz krzących nad nami dronów.

PIOTR GADZINOWSKI

Czemu ludzie władzy łaszą się do nazioli

Wiele wody upłynęło w Odrze, zanim ktokolwiek z rządu postanowił warknąć w odpowiedzi na rasistowskie happenin-gi prawicowych burków z ostatnich tygodni. Sprawy w swoje ręce wziął sam szef MSZ Radosław Sikorski i 12 lipca w social mediach opublikował nagranie, w którym ostrzegł, że „antymigrancka histeria szkodzi Polsce” i „budzi najgorsze demony”. Głupio wyszło, bo tego samego dnia okazało się, że jest umówiony na kolejne medialne piwo z Mentzenem.

Bąbelki po żydowsku

Co prawda minister na początku nagrania napomknął o nieprzyjemnej sytuacji, kiedy w Zamościu artyści festiwalu Eurofolk zebrałi joby za odmienną karnację, a straż miejska otrzymała na tę okoliczność kulturową zgłoszenia o „najeździe uchodźców”; ale czarę gówna, by nie powiedzieć goryczy, ministra Sikorskiego przelała kumulacja żydożerczych wysoków rodzimych antysemitów. Najpierw okazało się, że obok pomnika Żydów zamordowanych w Jedwabnem ustawiono kamienie z tablicami, na których napisano, jakoby ofiary w okupowanej Polsce „cieszyły się z autonomii” i „żyły z Niemcami w symbiozie”; a chwilę później europoseł Grzegorz „szczęść Boże” Braun ogłosił w audycji radiowej, że komory gazowe w Auschwitz były fejkami.

Sikorski – całkiem zresztą słusznie – stwierdził, że negowanie Holocaustu wyklucza nas spośród cywilizowanych narodów, a Brauna nazwał łachudrą. Gwoli ścisłości brzmiało to tak: „Rotmistrz Pilecki nie po to zgłaszał się na ochotnika do Oświęcimia, żeby teraz jakaś łachudra dla zysku politycznego podważała jego raport”. Niech zatem ten profit polityczny będzie gwóździem, na którym za gacie powieszę ministra Sikorskiego.

Sławomir Mentzen ogłosił w mediach społecznościowych zmianę koncepcji prowadzonych przez siebie spotkań pod nazwą „Piwo z Mentzenem”.

Europejczycy Schrödingera

Nowa formuła zakłada rozmowy na tematy polityczne, do których lider Nowej Nadziei będzie zapraszał czołowe (he he) postaci z różnych stron sceny politycznej, a wydarzenia transmitował w internecie. W pierwszym „pakiecie” politycznego ochłaju znaleźli się: Władysław Kosiniak-Kamysz, Mateusz Morawiecki, Przemysław Czarnek, Zbigniew Bogucki i Michał Dworczyk. Niemalym zdziwieniem było odkrycie na liście nazwisk: posła Lewicy Łukasza Litewki i polityków PO: Krzysztofa Kwiatkowskiego, Borysa Budki i wreszcie Radosława Sikorskiego.

Łukasz Litewka w trybie pilnym zdemontował swój udział w wydarzeniu, na deser oskarżając Mentzena o manipulację, gdyż na spotkanie się nie zgodził. Budka i Sikorski – *pardon my French* – zdefekowali w zbroję dopiero po szerokiej krytyce wyborców, ale tak troszeczkę, jak na platformersów przystało, zostawiając uchylone drzwi do prawicowego kibla.

Budka na platformie X podziękował Mentzenowi za zaproszenie do debaty i napisał: „Wrócimy do tematu, gdy nie będzie tak bardzo wzbudzał emocji po obu stronach barykady. Bo nadal uważam, że dobra merytoryczna rozmowa o przyszłości jest w Polsce potrzebna. Bez piwa”. Sikorski wybrał szantaż i na platformie Elona Muska wyrzeźbił przekaz, który mówi więcej niż milion słów: „Mile wspomina kampanijne piwo w toruńskim pubie Sławomira Mentzena. Chętnie podobatuję o Europie u mnie w Bydgoszczy, jeśli do tego czasu usłyszę potępienie skandalicznych słów Brauna”. A żeby was chudy Mojżesz popieścić.

Dusza za suba

O ile nie dziwią (choć zawsze brzydzą) aktywności Grzegorza Brauna, które co jakiś czas fermentują ciężkim smrodem na powierzchni medialnej – o tyle w osłupienie może wprawić fakt, że po politycznej destrukcji, jakiej dokonał Mentzen na platformianym organizmie w okresie kampanii prezydenckiej, ogary Tuska nadal merdają ogonami. A przecież dwa organizmy Brauna i Mentzena są ze sobą ściśle – aczkolwiek już nie partyjnie – powiązane. Wyrosły z tego samego korzenia, skrajnego nacjonalizmu.



Platforma tak bardzo skreca w prawo, że gdyby nie weekendowy antysemitki performance Brauna, panowie Sikorski i Budka w sierpniu karnie poleźliby do żłoba – nawiasem mówiąc, może jeszcze się okazać, że pójdą. Pomimo że ten sam Mentzen i reszta kumpli z jego konfederackiego środowiska w najbliższą sobotę w 75 miastach (stan na dzień 13 lipca) przygotowują akcję „Stop imigracji”.

Święte oburzenie Sikorskiego w temacie rasizmu to czyste pierdolenie w bambus, bo pod płaszczykiem rozmów ponad podziałami o Polsce, kolejny raz chętnie sprzedałby skórę za internetowe zasięgi Mentzena, którego profil na samym YouTube subskrybuje milion osób. Bo tu nie idzie o żadne polityczne szachy 5D, a o dotarcie do potencjalnych wyborców cudzimi kanałami przekazu, których przez ostatnie lata nie udało się stronie rządowej zbudować.

Według sondaży (raport „Nowy duopol obali ten system” P. Sadura, S. Sierakowski) struktura elektoratu Sławomira Mentzena pokazuje, że 35 proc. jego wyborców to zwolennicy romansu koalicyjnego z trzódką Kaczyńskiego. Najliczniejszą jego grupę – 48 proc. – stanowią osoby postrzegające wybory 2027 jako szansę na słynne już „wywrócenie stolika”, aborcowanie starego duopolu i wymuszenie głębokich zmian. Rozumiej jednak,

że Konfederacja nie ma szans na samodzielne rządzenie, ale jest zdecydowanie bliżej do koalicji z PiS.

Niestrudzona uporczywość środowiska Platformy Obywatelskiej w odbiciu bodaj picznego kląka tego procenta nie tylko doprowadziła do spadku poparcia wśród własnego elektoratu (wg badania CBOS 7–9 lipca, 59 proc. badanych źle ocenia prace rządu – to najgorsze wyniki od powstania gabinetu Tuska), ale do uwalenia szeroko pojętego etycznego mandatu zaufania.

Pomijając na chwilę strasznie imigrantami w kampanii z 2023 r., odebranie prawa do azylu i resztę burdelu związanego z sytuacją na wschodniej granicy – warto przypomnieć, że rząd zbijał punkty poparcia na postulacie odbierania świadczeń socjalnych na dzieci z Ukrainy. Co więcej, wciąż nie wiadomo, jak potoczą się losy wsparcia integracji ukraińskich i romskich bachorzą w polskich szkołach. Unijne fundusze na ten cel są, ale plan do ich zagospodarowania od miesiąca jest jak kot Schrödingera. Ciekawe dlaczego...

Premierowi łatwiej było włączyć ludzi mieszkających na pograniczu polsko-niemieckim w 16-kilometrowe korki przy kontrolach, niż narazić się bojówkom Bąkiewicz i zlikwidować ich cyrki obwoźne już pierwszego dnia.

Tym samym potwierdził wyssaną z okrężnicy narrację, że problem z imigrantami istnieje, a przy okazji ukreślił na siebie bat, bo prawica chodzi, gdzie może i opowiada, jak rząd dał dupy.

„Polacy i Polki są lepsi niż ci, którzy szczują na obcych i napędzają spiralę nienawiści. Apeluję o opamiętanie” – zakończył swoje internetowe wystąpienie szef MSZ. Zdrówko, panie ministrze, nawarzyłeś, to pij.

IDALIA DUBICKA

W „Gazecie Wyborczej” trwa festiwal Jana T. Grossa, związany z 84. rocznicą zbrodni w Jedwabnem. Na tydzień przed feralnym dniem 10 lipca ukazał się wywiad z profesorem pod trafnie dobranym tytułem „Dla mnie Jedwabne leżało na Księżycu”, a w dniu rocznicowym na trzech stronach „GW” rozpostarto jego esej „Zbrodnia poza wyobraźnią” o metodologii badań historycznych nad Holocaustem. W pierwszej z publikacji Gross wyznaje, że po upływie ćwierćwiecza od ukazania się jego bestsellerowej książki „Sąsiedzi” niczego nie chciałby w niej zmienić; w drugiej upiera się przy poglądzie, że najlepszym źródłem naszej wiedzy o polskich zbrodniach popełnianych na żydowskich sąsiadach są relacje ofiar Zagłady, a nie obiektywistyczne, beznamiętne dokumenty, wytworzone przez instytucje powołane do badań historycznych.

Dla mnie Jedwabne leży o rzut kamieniem od Warszawy, a o rzut beretem od Jedwabnego usytuowane jest bliźniacze miasteczko Radziłów. Zastanawiało mnie, dlaczego amerykański uczonec dla zilustrowania tezy o czysto polskim zoologicznym antysemityzmie wybrał mord jedwabnieński, chociaż miał pod ręką popełnioną w tym samym czasie nieomal identyczną zbrodnię spalania polskich sąsiadów wyznania mojżeszowego w stodole o dokładnie takim samym obrysie sześć na dziewięć metrów? W Jedwabnem teza o czysto polskim zoologicznym antysemityzmie rozmywała się w niewyrażnych okolicznościach mordu, w którym Polakom pomagała obecność niemieckich żandarmów, dla których sprzątaczką w kotle do prania bielizny gotowała 60 porcji zupki z wkładką mięsna. Jasność wykładu prof. Grossa mać też niemiecka obietnica odbudowania narzędzia mordu, jakim stała się niewielka stodola gospodarza Sleszyńskiego – i to, że danego słowa dotrzymani! Też o kierowniczym niemieckim sprawstwie zbrodni w Jedwabnem pieczętuje fakt, że polskim wykonawcom mordu niemieccy żołnierze obficie wydawali wódkę.

Zanim ktoś zarzuci mi tendencję do umniejszania polskich win w zbrodni jedwabnieńskiej i przypisywania „żandarmom czy esesmanom” jej sprawstwa kierowniczego – proszę, aby do-

Czego nie zmieniłby Gross

Wszystkie trupy prowadzą z Jedwabnego do Radziłowa

strzegł moje wysiłki na rzecz sedymentacji i destylacji czysto polskiego, stricte katolickiego zapału pogromowego, który sprawił, że w pobliskim Radziłowie, mniej więcej w tym samym czasie co w Jedwabnem, ludność chrześcijańska zamordowała około 500 bliźnich wyznania mojżeszowego (liczbę ofiar podaję na odpowiedzialność prof. Grossa).

Radziłowo – z dwakroć większą liczbą ofiar i ze swym czysto polskim charakterem – ma jeszcze jedną cechę wyróżniającą, na którą ze szczególną mocą wskazałem w swojej książce „Lokalny holokaust” (Wyd. JJK, 2001).

Wielodniowy pogrom w Radziłowie ustał w dniu świętym niedzielnym, kiedy chrześcijańscy mieszkańcy miasteczka i okolic w uroczystych strojach udali się do kościoła – i wznowił się w poniedziałek 7 lipca 1941 r., kiedy w stodole spalono żywcem kilkuset Żydów.

Ta przerwa niedzielna mówi wszystko i o ludności polskiej, i o jej katolickich kapłanach.

W wywiadzie dla „GW” prof. Gross twierdzi, że rozmawiał „z wieloma mieszkańcami Jedwabnego”. To prawda,

ale rozmawiał dopiero podczas pamiętnej uroczystości, gdy prezydent Kwaśniewski w imieniu wszystkich Polaków za Jedwabne przeproszał. Gdyby przed napisaniem książki „Sąsiedzi” Gross zajrzał na dzień do Jedwabnego, dowiedziałby się od księdza prałata Edwarda Orłowskiego, proboszcza miejscowej parafii, że liczba żydowskich mieszkańców nigdy nie przekroczyła tysiąca i że napis na kamieniu pamiątkowym – głoszący, że w tym miejscu zbrodniarze hitlerowcy spalili żywcem 1500 obywateli wyznania mojżeszowego – sporządzili kombatancki z miejscowego koła ZBoWiD w zbożnym przeświadczeniu, że bezkarni zachodni Niemcy zbrodniarze zasłużyli sobie na jeszcze większą liczbę ofiar.

W kulturach, w których pojawia się „syndrom gromadomyślenia”, równoległe występuje niekiedy „syndrom gromadomilczenia”, zamilczania spraw i ludzi na śmierć. Są sprawy, o których się nie mówi – bo taki jest nakaz chwili,

bo tak dyktuje „mądrość etapu”. W związku z moim „Lokalnym Holokaustem” dotarła do mnie tylko opinia Stefana Zgliczyńskiego, dyrektora edycji polskiej „Le Monde Diplomatique” – osoby światłej, bo innych przecież do lewicującego „Le Diplo” w ogóle nie dopuszczano: „Cennym wzbogaceniem argumentacji oburzonych książką Grossa okazała się publikacja Jakuba Kopcia Lokalny Holocaust w Jedwabnem. (...) Kopeć radzi, aby poddać książkę Grossa »krytycznej analizie«. Aby odrzucić w całości

też Grossa o spaleniu w stodole 1600 Żydów wystarczy, według Kopcia, po prostu... »prze-czytać jakieś opracowanie o budowaniu stodół w Jedwabnem i okolicach. Zważywszy na bagienno charakter ziem położonych w widłach Biebrzy i Narwi, a także miejscowy zwyczaj przechowywania siana w stogach, nie musiały to być stodoly zbyt wielkie. (...) Pewien pracownik naukowy z Opola (chodzi o dr. Dariusza Ratajczaka, współpracownika Bubla, który w wydanej przez siebie książce kwestionował istnienie komór gazowych w Oświęcimiu – przyp. S.Z.), który zakwestionował w ogóle Holocaust, wyliczyłby, że w stodole spalono nie więcej niż sto osób. I chociaż liczba ofiar nie ma znaczenia dla moralnej oceny zbrodni, my, ludzie światli i porażeni ohydą zbiorowego mordu w Jedwabnem, poczynamy założenie, że w stodole spalono żywcem sześć razy więcej ofiar. Do pełnego rachunku brakuje nam tysiąca«...

Tak gwoli ścisłości: moja książka miała tytuł „Lokalny Holocaust”, a nie „Lokalny Holocaust w Jedwabnem” – i traktowała nie tyle o płonącej stodole w Jedwabnem, ile o pięciu chałupach, spalonych we wsi Lubasz koło Szczucina nad Wisłą wraz z gospodarzami i zbiegłymi z getta w Tarnowie Żydami, którzy schronili się w nich przed hitlerowską obławą. Szósta chałupa, należąca do Andrzeja Majki, nie spłonęła, ponieważ gospodarz ukrył gromadkę Żydów w skrytce zapobiegliwie przygotowanej na wszelki wypadek dla własnej rodziny. W tej gromadce uratował się także Leib Silber, który bohatercko wyskoczył z pociągu do Treblinki! Jestem mu nieskończenie wdzięczny za to, że umarł w własnym łóżku w Paryżu, otoczony dorosłymi wnukami.

JAKUB KOPEĆ

Od czasu do czasu gapię się w okno (miejskie) i łapię się na tym, że opanowuje mnie coś jakby nostalgia do wsi. Zadziwiająca! Tłumaczę sobie wtedy: kiciuś, ty mylisz wieś z kibucem. Ale dalej zastanawiam się, skąd ten sentyment? Odpowiedzi mam dwie.

Po pierwsze: jak byłam dzieckiem, i to małym, przedawkowałam „Annę Kareninę” Tolstoja. Tyle że od zawsze nudziła mnie zarówno Anna, jak i Wroński. Z tego towarzystwa tylko klacz Fru-Fru uważałam za fajną. Z załogi równoległej, o ile nie przeciwnej, jarały mnie obrazki z udziałem Lewina i Kitty. I to, co sobie Lewin wymyślił – na życie. Albo i sam Tolstoj, wszakże Lewin miał być alter ego pisarza.

Nie bez znaczenia był też fakt (odpowieź druga), że z dzieciństwa zza okien samochodu widywałam i zapamiętałam sięgające aż po rozległy horyzont pola rzepaku. Tę przestrzeń. A gwarantuję Wam, że żółty to akurat nie jest mój ulubiony kolor; jest nim kolor czerwony. Jednak jak się organizm nie znosi lasu – a ja lasu nie znoszę – to pole wydaje się rozsądnym wyborem estetycznym, tudzież spacerowym. Ale... Jedwabnejskie obrazki i pamięć innych chłopskich pogromów Żydów prędko mi wybijają z łba myśl o tym, żeby się na wieś przeprowadzić. Schowanie zapalek, jak i brak stodoły zdają mi się zbyt słabymi środkami zabezpieczającymi przed katastrofą. Ot, mądry Żyd po szkodzi. A i nawet zdarza się, że przed.

Nie jest tak, że ostatni numer Brauna umocnił moją postawę. Tu nic już nie wymaga umocnienia. Chciałabym, żeby mnie i Brauna dzieliła fosa lub rzeka pełna krwiożerczych krokodyli – dla dobra tak mnie, jak europośla. Braun jaki jest, każdy widzi. Jednym to odpowiada – wszakże 12 lipca 2025 r. znowu Konfederacji Korony Polskiej skoczyły notowania. W wielu Polakach widać tkwi kompleks strażaka: gasić, a nawet podpalać. I niech się kręci.

Braun będzie, bo jest wygodny dla Tuska. Rudy może straszyć, że jak się nie uwali prawicy, to PiS i Konfa będą rządzić razem z Braunem.

A w ogóle naród jest głupi i nieodpowiedzialny, wybrał Nawrockiego i proszę, ma – Brauna w akcji.

Braun w dodatku jednak prawicę zakurwia, a zakurwiona prawica dla Tuska to miód. Wszakże zabiera Kaczyńskiemu głosy i szarga opinię w mediach zachodnich, tak swoją jak i innych prawicowców... Jak i całej Polski.

Babie lato

Braun i co z niego wynika

Spoko, ludzie – nie ma szans, żebyście sobie w zagranicznych mediach poprawili opinię dotyczącą relacji polsko-żydowskich, możecie dać se spokój. I zainwestować w krokodyle. Braun hasał w najlepsze 11 lipca, osamotnieni w kraju Żydzi się darli, a reszta, generalnie, przebudziła się późnym popołudniem. I jeszcze mocniej dnia następnego, po sondażach hipotetycznie dzielących torcik sejmowy.

Najbardziej rozsądny komentarz, jaki znalazłam – i to komentarz błyskawiczny, bo z samego 11 lipca rano – należał do parlamentarzysty Konfy Grzegorza Płaczkę: „Wątpię, że Grzegorz nie zna historii rotmistrza Pileckiego – tego, co zrobił, i tego, że był w Auschwitz. Nie dziwię się jednak temu, dlaczego Grzegorz to zrobił. Grzegorz słynie – zwłaszcza w ostatnich miesiącach i latach – z rzeczy, które bulwersują. Oby się nie przeliczył. To jest znacznie za daleko idącą wypowiedź i polityk, zwłaszcza europejski, takich słów powinien unikać”. Na zimno, życiowo, bez propagandy. Przypomnę, że wywiad, który zawierał tzw. kłamstwo oświęcimskie, Braun dał z terenu, czyli właśnie z Jedwabnego. Mnie w sumie bardziej uderzyła ta część jego wypowiedzi, która dotyczyła tzw. morderstw rytualnych czyli przerabiania chrześcijańskich dzieci na macę: „Ale oni wszyscy razem, solidarnie, B'nai B'rith, Polin i inne organizacje, które przedstawiają się jako żydowskie, potępiają tych, którzy mówią prawdę. Że mord rytualny to fakt, a dajmy na to Auschwitz z komorami gazowymi to niestety fake. (...) Mamy źródłową książkę Ariella Toafa »Krwawe Paschy«, na temat mordu rytualnego, natomiast badania w Auschwitz-Birkenau, badania właśnie owych komór gazowych są uniemożliwiane przez samo Muzeum Auschwitz-Birkenau...”

Tu jest wielki problem, choć rozumiem, że postronnemu mógł uciec. Gadanie o mordach rytualnych jak o rzeczach rzeczywistych – to zachęcanie do pogromów. Ostatnia rzeź sprowokowana bajdami o stosowaniu chrześcijańskiej dziecięcej krwi jako mało gustownego elementu w żydowskim piekarnictwie miała miejsce 4 lipca 1946 r. Kilkuletni gówniarz, Henio Błaszczak, prysnął do kumpla, aby nazbierać gruszek czy co się tam robi, jak jest lato i biega się w krótkich spodenkach. Urwał się na tyle długo, że jego nieobecność zaniepokoiła ojca Walentego Błaszczaka. Kiedy chłopak zorientował się, że jednak przegiął i pas podtrzymujący długie ojcowskie spodnie wyładuje na jego dupie, opowiedział rodzicielowi, że oto Żydzi (wyędźniałe niedobitki z obozów) porwały go – „na



macę”. I tłum ruszył... Wielokrotnie próbowano się doszukiwać w pogromie kieleckim tzw. drugiego dna. Tylko że go nie było. Po prostu nie doceniono siły debilizmu, prymitywizmu, nienawiści oraz chciwości, które, kiedy się sumują, tworzą hordę nie do zatrzymania. Uwaga: wciąż się nie docenia!

Zastanawiam się, jak by zakończyła się tegoroczna impreza w Jedwabnem, gdyby było bardzo gorąco i ktoś miał pod ręką mobilny kamień. Te furażerki prewencji to by za bardzo nie pomogły... Pytanie, czy za dwa lata – bo może jeszcze nie za rok – odbędzie się następne żydowskie uroczystości.

Braun, ja tylko zauważę, że rabinowi to nawet przerywać nie wolno. Blokować go albo wyrwać się do niego z łapami – to więcej niż rzeczy niedopuszczalne. Chujowy z ciebie, Braun, ekspert do spraw judaizmu. Jest to chuj smętny i w zwisie. Tobie, Braun, po prostu należy się mocno w mordę – czego się doczekasz wcześniej lub później. Okulary nie pomogą! I spierdajal od naszych umarłych. Spierdajal od naszych umarłych zabitych przez waszych umarłych. Bo jak ich ruszysz, to będzie dym nieziemski. I ja ci to mówię – deklaratywnie.

Co zaś do pomniczka postawionego przez zwolenników Brauna na prywatnej działce... A niechże on sobie tam stoi. Podwieście krasnale ogrodowe, żeby ładniej było – te z niemieckiej granicy. Sza-

nujemy prawo własności! Niech oni sobie stawiają na swojej ziemi, co chcą, a my poprosimy do zwrotu nasze kamienice lub ich równowartość na konta.

Dodam jeszcze, że zawsze patrzyłam krzywo na przeprosiny zapodane przez prezydenta Kwaśniewskiego w Jedwabnem w roku 2001. Ja wiem, że wtedy był dym po wydanej kilka miesięcy wcześniej książce Janka Grossa „Sąsiedzi” i wiem, że to właśnie z niej wielu i Polaków, i polskich Żydów dowiedziało się – albo przypomniawszy sobie – o tym, co się działo na polskich wsiach. Bo to nie było jedno Jedwabne. Pamiętam też o tym, że pierwszy, bo pod koniec maja 2001 r., zaczęli się bić w tustę klaty polscy purpuraci. Sęk w tym, że nie był to czas na kierowanie świateł rampy na polskich Żydów. Wówczas minęło dopiero 10 lat od przywrócenia stosunków dyplomatycznych Polska–Izrael i było jeszcze w chujec rzeczy do załatwienia pomiędzy tymi dwoma państwami. Ronienie krokodylich też nad ofiarami pogromów mogło poczekać, a tak raptem lzy okazały się amunicją w rękach prawicy. I tak jest do teraz.

„Dzisiaj jako człowiek, jako obywatel i jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, przepraszam. Przepraszam w imieniu swoim i tych Polaków, których sumienie jest poruszone tamtą zbrodnią. W imieniu tych, którzy uważają, że nie można być dumnym z wielkości polskiej historii, nie odczuwając jednocześnie bólu i wstydu z powodu zła, które Polacy wyrządzili innym. Tragedii, która się tu rozegrała, nie da się cofnąć. Zła nie da się zamazać, cierpienia zapomnieć. Prawda o tym, co się wydarzyło, nie naprawi tego, co

się stało. Prawda nie ma takiej mocy. Ale tylko ona – tylko prawda najbardziej piękna, bolesna – pozwoli oczyścić ranę pamięci. Taką mamy nadzieję. Po to tu jesteśmy. Wypowiadamy dziś słowa żalu, goryczy i skruchy nie tylko dlatego, że tak nakazuje zwykła ludzka przyzwoitość. I nie dlatego, że oczekują ich od nas inni, nie dlatego też, że przyniosą zadośćuczynienie pomordowanym, i nie dlatego, że słucha nas świat. Wypowiadamy je, bo tak właśnie czujemy. Ponieważ tych słów najbardziej potrzebujemy my sami! Czynimy to, by stać się lepszymi, mocniejszymi siłą moralną, by być wolnymi od uprzedzeń, złości i nienawiści. Wypowiadamy je, by szanować człowieka i kochać ludzi. Aby zło w dobro przemieniło...”

To wyimek z Kwacha. Ja wiem, że słowo pragmatyzm zaczyna się na literę „p” i że słowo propaganda zaczyna się na literę „p”, ba, nawet słowo patriotyzm zaczyna się na literę „p” – ale tak doradzam wszystkim, oby wam się te wszystkie „p” (także Polin i także Polska) przestały raz na zawsze pierdolić. A jak już macie, Kochani Moi i Niekochani, wybrać, to wybierzcie jednak pragmatyzm. Bo jesteśmy w 2025 r. i jest raczej znacznie gorzej, niż było ćwierć wieku temu.

IZABELA SZOLC

Zamiast o kłamstwie oświęcimskim, porozmawiajmy o Gazie.

Olać Brauna

Na początek trochę martyrologii rodzinnej. Mój dziadek, kpt. lek. Maciej Wołk-Łaniewski, został zamordowany w Charkowie. Jego rodzona siostra (którą zdążyłam poznać jako dziecko), dr Katarzyna Łaniewska, przeżyła Auschwitz-Birkenau, gdzie uratowała dziesiątki innych więźniarek i stała się kimś w rodzaju legendy, bo robiła w wała Josefa Mengele. W sumie – w mojej rodzinie zarówno Oświęcim, jak i Katyń są bardzo prawdziwe.

Co powiedziawszy – uważam, że karamie za „kłamstwo oświęcimskie” oraz „kłamstwo katyńskie” jest kompletnie bezsensowne. Jest mi doskonale obojętne, czy za swoje kretyńskie wybrki pan poseł Braun trafi do pierdła, czy nie – podobnie jak to, czy naprawdę wierzy, że komory gazowe „to fejk”, czy też mówi to, żeby pozyskać wsparcie foliarzy.

Foliarze – wyjaśniam niezorientowanemu – to wyznawcy teorii spiskowych, nazywani tak od hełmów z folii aluminiowej, która ma chronić przed kontrolą umysłu poprzez promieniowanie 5G. Krótko mówiąc, świry. A świry były, są i będą – żyjemy w czasach, kiedy serio działa Towarzystwo Płaskiej Ziemi. Ważne jest to, że naprzeciwko tej świrlandii stoi cały system: edukacja na wszystkich poziomach, nauka, kultura masowa, autorytet państwa i całe imaginarium masowej wyobraźni. Czy chodzi

o krematoria, czy kształt ziemi – foliarze nie mają szans. Prawda o Oświęcimiu i Katyń się obroni.

Zgola inaczej jest z prawdą o ludobójstwie dokonywanym świadomie i celowo przez izraelski rząd w Strefie Gazy i na Zachodnim Brzegu.

Mówią o nim raporty wysokiego komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw praw człowieka, a także Amnesty International i Human Rights Watch – żeby wymienić tylko najważniejsze. Zresztą nie potrzebujemy raportów, bo izraelskie ludobójstwo widzimy codziennie, na żywo, na ekranach naszych telewizorów. Może nie w głównych wydaniach dzienników – potencjał widzów do przyswajania wojny polscy wydawcy *prime time* wykorzystują na Ukrainę – ale naprawdę nikt nie może powiedzieć, że nie wie.

Co najmniej 58 tys. ludzi zamordowanych przez Siły Zbrojne Izraela (IDF); 80 proc. z tego to cywile, ponad 30 proc. – dzieci. 70 tys. ton zrzuconych bomb, 68 proc. zniszczonej zabudowy, dewastacja 95 proc. ziemi uprawnej, blokada pomocy humanitarnej, używanie głodu jako metody prowadzenia wojny, strzelanie do ludzi stojących w kolejkach po żywność i wodę – to wszystko wiemy. Podobnie jak z oficjalnego komunikatu izraelskiego ministra

obrony Izraela Kaca dowiedzieliśmy się ostatnio, że rząd Netanjahu planuje w ruinach miasta Rafah zbudować obóz koncentracyjny – zwany „strefą humanitarną” – w której początkowo chce zamknąć 600 tys. Palestyńczyków, a docelowo całą populację, 2,1 mln.

Tutaj nie ma miejsca na wątpliwości – dokładnie tak samo, jak nie ma go w odpowiedzi na pytanie: „Czy w Oświęcimiu były komory gazowe?”

Tymczasem gdy mowa o Gazie, kolektywny Zachód – podobnie jak w czasach Holocaustu – starannie zakrywa oczy. W tym miejscu zasadny byłby geopolityczny wywód o szczególnym miejscu Izraela w polityce wewnętrznej USA i skutecznej metodzie szantażu oskarżeniami o antysemityzm, jakimi posługują się do tłumienia wobec nich środowiska żydowskie na całym świecie. Ale sobie daruję.

Ograniczę się do jednego przykładu. Specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. praw człowieka na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy, włoska prawniczka Francesca Albanese, została właśnie obłożona amerykańskimi sankcjami. „Dzisiaj nakładam sankcje na Francusę Albanese za jej bezprawne i haniebne wysiłki na rzecz działań MTK przeciwko amerykańskim i izraelskim urzędnikom, firmom i władzom. Prowadzona przez Albanese kampania wojny politycznej i gospodarczej przeciwko Stanom Zjednoczonym i Izraelowi nie będzie dłużej tolerowana” – ogłosił Marc Rubio na platformie Elona Muska.

Co wprawiło sekretarza stanu USA w stan takiej hysterii, że zdecydował się na stricte dyktatorski ruch ścięcia posłańca – będącego wysokim urzędnikiem ONZ?

Opublikowany na początku lipca raport Albanese, zatytułowany „Od gospodarki okupacji do gospodarki ludobójstwa”, wymienia 48 firm czerpiących bezpośrednio zyski z izraelskiego ludobójstwa w Strefie Gazy. Wśród nich są Microsoft, Amazon, Alphabet (właściciel Google'a) i IBM.

Giganci cyfrowi są odpowiedzialni za system masowej inwigilacji, gromadzenie i przekazywanie danych do ataków, a także danych biometrycznych Pale-



styńczyków, na których opiera się uprawiana przez izraelski rząd polityka apartheidu. Bezpośrednio na zabijaniu zarabiają dostawcy broni – produkujący F-35 Lockheed Martin i jego podwykonawcy z ośmiu różnych krajów. Raport oskarża firmy dostarczające buldożery do niszczenia palestyńskich domów, w tym Hyundai i Volvo, oraz Booking i Airbnb, obsługujące turystykę na okupowanych terenach. Albanese przywołuje też chińskiego giganta spożywczego Bright Food będącego większościowym udziałowcem największego izraelskiego producenta żywności Tnuva, czerpiącego zyski z terenów okupowanych. I tak dalej. Współpraca z Izraelem oznacza dziś udział w ludobójstwie.

Druga wojna światowa skończyła się dawno i wszyscy wiedzą, kto był dobry, a kto zły.

Rzeź Gazy toczy się na naszych oczach i każdy z nas musi wybrać stronę.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Dobre prawo, ale słabe

Jak Kaufland zastrasza pracowników

Kaufland – market z niemiecką etykietką, polskimi cenami i traktowaniem pracowników jak w Bangladeszu. Sieć, która z dumą prezentuje się jako nowoczesna i odpowiedzialna korporacja, ale w praktyce przypomina raczej serial o korporacyjnym folwarku, gdzie prawa pracownicze są tylko dekoracją na papierze.

Ostatnie miesiące to prawdziwy festiwal absurdu i groteski, w którym główną rolę grają zastraszanie, mobbing i ignorowanie prawa pracy. Informują o tym m.in. Eryk Kościak i Wojciech Jendrusiak – związkowcy, których Kaufland najchętniej poddałby utylizacji jak przeterminowany towar. W końcu, jak by chciał w firmie macieści, którzy przypominają, że prawa pracownicze to nie tylko pusty slogan?

Kościak został dyscyplinarnie zwolniony, mimo że sąd jasno stwierdził, że ochrona związkowa mu przysługuje. Ale co nam sąd, gdy można ignorować orzeczenia i robić swoje? Firma konsekwentnie nie wpuszczała go do pracy,

najwyraźniej wierząc, że polskie prawo akurat jej nie dotyczy. Jendrusiak z kolei został pozwany przez firmę o 175 tys. zł – za odwagę informowania opinii publicznej o łamaniu prawa.

Taka polityka nie bierze się znikąd – to efekt świadomej strategii zarządzania, w której na pierwszym miejscu stoi cięcie kosztów i tłumienie wszelkiego sprzeciwu. Menedżerowie uczą się od siebie nawzajem, że „elastyczność” oznacza dla pracownika gotowość na każdy wymysł grafiku, a „lojalność” to milczenie wobec łamania prawa. Efekt? Ludzie stają się zmęczeni, znerwicowani i wyczerani z energii, a kultura pracy przypomina raczej pole walki niż miejsce, gdzie można spokojnie zarobić na chleb.

Niech nikt nie myśli, że to wyjątek. Związkowcy i społeczna inspekcja pracy od miesięcy dokumentują „normalne” praktyki firmy: utrudnianie kontroli, unikanie wypłat rekompensat dla dyskryminowanych kobiet po urlopach macierzyńskich czy zwolnienia tych, którzy mają odwagę walczyć o swoje.

W obliczu tych „standardów” OPZZ Konfederacja Pracy w Kauflandzie i Biedronce zgłosiła wszystkie nieprawidłowości ministrowi sprawiedliwości i prokuratorowi generalnemu. „W Niemczech takie wykroczenia byłyby nie do pomyślenia” – twierdzą związkowcy. A w Polsce? No cóż...

Państwowa Inspekcja Pracy wzięła na cel menedżerów Kauflandu – już pięć postępowań karnych toczy się wobec nich za łamanie prawa. Dochodzenia obejmują m.in. utrudnianie strajków ostrzegawczych i zastraszanie pracowników.

Prokuratura w Bełchatowie zaś bada, czy firma nie złamała przepisów ustawy o rozwiązywaniu sporów zbiorowych. Zawiadomienie złożyło Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. To brzmi poważnie, ale znając realia, można się spodziewać, że Kaufland zamiast poprawy dalej będzie grał na zwłokę. Nawet Dziemianowicz-Bąk nie pomoże.

Przecież prawo w Polsce jest całkiem przyzwoite – problem w tym, że sankcje karne za jego łamanie wynoszą od kilkuset do paru tysięcy złotych. Dla międzynarodowych korporacji to kwoty śmieszne, które w żaden sposób nie motywują do tworzenia dobrych warunków pracy.

Tymczasem hipokryzja firmy jest godna oddzielnej nagrody. Na billboardach i w internecie Kaufland lansuje się jako odpowiedzialny pracodawca. W realu jednak zamiast dialogu – pozwy, zastraszanie i totalne ignorowanie praw pracowniczych. Wszystko po to, by utrzymać ładny obraz „sprawiedliwego” pracodawcy i ciszę w szeregach.



Codziennosc w Kauflandzie to niestanna niepewność, presja wyników i strach przed zwolnieniem. Taki system niszczy nie tylko finanse, ale i zdrowie psychiczne, relacje rodzinne oraz poczucie własnej wartości. Zamiast solidnej pracy i godnej płacy, pracowników czekają represje.

Bo jeśli dziś można bezkarnie niszczyć tych, którzy walczą o podstawowe prawa, jutro spotka to każdego. W Kauflandzie trwa niestanny festiwal bezprawia, ale historia Kościaka, Jendrusiaka i innych pokazuje, że nie wszystko da się zamieść pod dywan.

DAMIAN DUSZCZENKO

Brak polskiej polityki energetycznej

Jeździec bez głowy

Najważniejsze jest mieć Boga w sercu, a na drugim miejscu – prąd w domu. Tak dowcipnie powiedział 100 lat temu pewien amerykański farmer, o czym kiedyś przeczytałam na stronie „New York Timesa”. O ile cieszy mnie, że coraz mniej Polaków (zwłaszcza młodych, co daje nadzieję na laicką przyszłość) ma Boga w sercu, to jednak nie chciałabym, aby Polki i Polacy nie mieli prądu w domu.

A właśnie opublikowany obszerny (76 stron) raport Forum Energii pt. „Transformacja energetyczna w Polsce” skłania do zastanowienia, czy my jesteśmy jakimś przeklętym miejscem na Ziemi, że wynosimy do władzy ludzi, którzy są zawsze skrajnie niekompetentni. Wydawałoby się, że nadrzędną rolą polityków jest kreowanie polityk – w tym arcyważnej społecznie i ekonomicznie polityki energetycznej – lecz każdy, komu się tak wydaje, jest w grubym błędzie. A jak mawiał starożytny myśliciel Seneka, błędzić jest rzeczą ludzką, lecz trwać w błędzie jest rzeczą diabelską.

Z raportu dowiadujemy się ciekawych faktów, które powinny spędzać sen z powiek polskich rządzących – i przebiegających do władzy nóżkami prawicowych opozycjonistów, lecz ci zajęci są innymi sprawami, bo zgodnie z zasadą, którą wyluszczył jeden z bohaterów powieści o dzielnym wojaku Szwejku – jak tam było, tak tam było, jeszcze nigdy tak nie było, aby jakoś nie było...

Polska jest na niechlubnym piątym miejscu na świecie – i pierwszym w Europie! – jeśli idzie o jednostkową emisyjność zużycia energii pierwotnej. Wyprzedzają nas tylko Kuwejt, RPA, Kazachstan i Chiny.

Przy całym pierdoleniu o straszliwej unijnej polityce klimatycznej okazuje się, że ceny uprawnień do emisji utrzymują się na umiarkowanym poziomie – średnia cena w zeszłym roku to niecałe 65 euro za tonę dwutlenku węgla. Budżet państwa lyknął za sprzedaż uprawnień do emisji 16,6 mld zł, co jest niemalą kwotą.

Fikcją jest uniezależnienie się od importu surowców energetycznych. Co prawda niewiele już sprowadzamy z Rosji, lecz na potęgę

kupujemy surowce gdzie indziej. Jeśli w 2013 r. poziom uzależnienia wyniósł 29 proc., to w 2023 r. – już 45 proc. W 2024 r. import surowców sięgnął niebotycznych 112 mld zł, z czego największą przypadła na Arabię Saudyjską (29 proc.), Norwegię (18 proc.) i Stany Zjednoczone (17 proc.).

Wiceprezes zarządu Forum Energii podsumował raport następująco: „Transformacja energetyczna w Polsce postępuje, ale nadal jest głównie napędzana przez czynniki zewnętrzne – unijną politykę energetyczno-klimatyczną, ceny uprawnień do emisji CO₂ oraz sytuację geopolityczną. Brakuje natomiast spójnej, długoterminowej strategii krajowej, która wyznaczałaby kierunek zmian i integrowała działania rządu, samorządów i sektora prywatnego. Polska debata wokół transformacji zbyt często koncentruje się na lęku przed wygaszaniem elektrowni węglowych, zamiast skupiać się na fakcie, że znajdujemy się w bezprecedensowym okresie inwestycyjnym w nowe niskoemisyjne moce i magazyny energii, które zapewnią bezpieczeństwo energetyczne”.

Gdyby polscy politycy byli kompetentni – założmy taki fantastyczny scenariusz – to by zrobili wszystko, aby ceny prądu nie dobiły gospodarstw domowych i polskich fabryk, nawet jeśli trzeba sobie poważnie odpowiedzieć na pytanie, czy każda produkcja w Polsce jest pożądana.

Jeżeli do powyższego raportu dodamy to, co niedawno radziła nam OECD – zwracając uwagę, że jesteśmy 10. największym emitentem gazów cieplarnianych w stosunku do PKB w tej organizacji i czas odejść od węgla – to zamiast pasjonować się, co który z polityków napisał o sukcesie Świątek na Wimbledonie, dziennikarze powinni grilować te lązy w temacie energii. Choć akurat TV Republika bardziej się interesuje, czy mają oni Boga w sercu...

K.K.

Życie w dobrobycie

● Pierwsze półrocze przyniosło wzrost widełek płac na kontraktach B2B – tak się w języku nowomowy korporacyjnej nazywa śmieciówkę w garniturze. Najczęściej nie ma na niej chorobowego, nie ma urlopu, trzynastki, no i premii. Nie ma też miliona innych benefitów przynależnych etatowi. Jest tylko przelew. I faktura. A jak się firmie odwdzi, to przestaje ten przelew robić. Bo w kontrakcie B2B umowę rozwiązuje się szybciej, niż zamawia pizzę. Dlatego nic dziwnego, że firmy takich śmieciówkowców kochają. Bo po prostu oszczędzają na nich mnóstwo pieniędzy. „To rozwiązanie pozwala firmom ograniczać koszty zatrudnienia, a jednocześnie oferować pracownikom wyższe wynagrodzenie netto” – twierdzą szefowie firm. A że rozwiązanie to pozwala też szybciej się kogoś pozbyć, to już się nie mówi głośno. A z danych wynika, że w porównaniu z końcówką zeszłego roku w pierwszym półroczu stawki na B2B wzrosły średnio o 11 proc. w dolnym przedziale i o 6 proc. w górnym. Ale tylko średnio. Bo są branże,

gdzie poleciały na łeb. W finansach – minus 17 proc. po obu stronach widełek. Seniorzy też nie mają powodów do radości. Na etatach ich pensje spadły o 6 proc. w dolnym i 5 proc. w górnym przedziale. Na B2B co prawda tylko symbolicznie – o niecały procent – ale symboliczny spadek wciąż jest spadkiem. Najwięcej zyskali specjaliści średniego szczebla. Na B2B dostali podwyżki o 15 proc. na dole i 11 proc. na górze widełek. Nic więc dziwnego, że firmy coraz chętniej sięgają po „elastyczne formy zatrudnienia”. Czyli te, gdzie nic nie muszą, a wszystko mogą.

● Z innych badań wynika, że Polakom powodzi się już tak dobrze, że nawet do sklepu nie muszą chodzić. I nie dlatego, że nie mają pieniędzy. Po prostu nie mają czasu, siły albo chęci. Bo skoro można wszystko zamówić przez internet, to po co się ruszać z kanapy? To dlatego liczba placówek handlowych spadła w 18 z 28 badanych branż. W pierwszym półroczu liczba sklepów skurczyła się o ponad pół procent. Mamy ich teraz 365,2 tys. Najbardziej dostaje się handlowi detalicznemu – znikają sklepy z ubraniami, butami, komputerami i zabawkami. Kurczy się też rynek drogerii oraz sprzedawców części motoryzacyjnych. Widocznie dzieci nie potrzebują już zabawek, kierowcy – oleju, a ludzie – nowych ciuchów. Wśród spadków są też wzrosty. Pojawilo się więcej warzywniaków – o 3,2 proc. Więcej też jest piekarni, sklepów z alkoholem, sprzętem AGD, sportowym, medycznym, a nawet jubilerów. Widocznie jeśli już wychodzimy z domu, to tylko po to, żeby

kupić coś do jedzenia, picia albo blyskotkę na pocieszenie. Handel w Polsce przeżywa kryzys. Trzy duże sieci ogłosiły właśnie kolejne rundy zwolnień. Bo trzeba ciąć koszty, reorganizować, restrukturyzować i przekształcać, czyli robić wszystko, żeby zlikwidować sklepy i zwolnić ludzi. Jeszcze trochę, a kupowanie czegośkolwiek osobiście stanie się czymś równie ekstrawaganckim jak lot balonem. Ale kto bogatemu zabroni?

● Za Gierka Polska była dziesiątą potęgą przemysłową świata. Potem miała być drugą Japonią. Teraz, zgodnie z najnowszymi zapewnieniami premiera Tuska, będzie 20. gospodarką świata i wyprzedzi nawet Szwajcarię. I to nie w liczbie serów, zegarków czy gór, ale w twardym PKB. Jakby tego było mało, to – jak poinformował premier – „siła nabywca Polaka jest wyższa niż Japończyka”. A wszystko to dzięki deregulacji. Bo jak ogłosił Tusk: „Deregulacja może być kolejnym silnikiem wzro-

stu, w tym wzroście konkurencyjności polskiej gospodarki”. W ramach tej narodowej krucjaty przeciw regulacjom zgłoszono 500 pomysłów, powstało 175 aktów prawnych, a prezydent Duda podpisał prawie 20 ustaw. Wszystko to w ramach programu „Deregulacja. Znosimy bariery, ułatwiamy życie”. Co prawda na razie ułatwilo się głównie życie politykom, którzy mogą się tym chwalić, ale przecież premier zapewnił też, że „życie każdej polskiej rodziny musi wspiąć się na wyraźnie wyższy poziom”. I to w każdej dziedzinie.

● W czasie gdy Tusk ogłasza naszą wielkość, są i tacy, co w te opowieści z mchu i paproci uwierzyć nie chcą. Na przykład firma Drüsedau, która po 32 latach działalności w Polsce stwierdziła, że suszenie drewna jednak lepiej wychodzi w Niemczech. Zakład w Margoninie w Wielkopolsce, gdzie od dekad przygotowywano surowce do produkcji parkietów, ma zostać zamknięty jeszcze przed końcem lipca. Pracę straci 30 osób. Firma nie zwija się dlatego, że nie ma u nas drewna, ale dlatego, że zmieniła „model logistyczny”. Bo jak się okazuje, czekanie dziewięć miesięcy na wysuszenie de-



Rys. MIROSLAW HAJNOS

Grzech wiary

Duch zstąpił i pod hasłem „NIE CHCEMY pomagać NARKOMANOM niszczyć swojego życia oraz swoich bliskich” nakazał zwalniać ludzi.

W 2022 r. na ulicach straszły białe-czarne reklamy ze słowami Jana Pawła II. Na jednych było napisane „odnowi oblicze Tej Ziemi!”, na innych „niech zstąpi Duch Twój”, oba z podpisem „JP II”. I nic więcej, ani nazwy organizacji, ani czegośkolwiek. Najciekawsze, że wiele z tych przydrożnych reklam rozmieszczonych było w niewielkich odległościach od siebie. Na niektórych ulicach nawet co 20 metrów. Często na jednej ścianie wisiał wielogłówny billboard z hasłem, a poniżej mały, podświetlany nocą citylight z tymi samymi słowami.

Zgodnie z duchem PiS-u

Ponieważ w Polsce tajne są tylko zarobki Kościoła, spece od reklamy błyskawicznie obczaili, kto zapłacił za cytaty z Wojtyły. I ile zapłacił – też.

Za wyprowadzeniem papieskich cytatów na ulice stała Fundacja Nasze Dzieci – Edukacja, Zdrowie, Wiara z Kornic niedaleko Raciborza. Założona parę lat temu, niemal w 100 proc. finansowana przez firmę Eko-Okna. Właścicielem Eko-Okien jest pan Mateusz Kłosek, którego majątek szacowano na 674 mln zł, co dawało mu 97. miejsce na polskiej liście „Forbesa”.

Pan Kłosek był prezesem Fundacji Nasze Dzieci. A gdy przestał być, w zarządzie zasiadła pani Kłosek – i zbieżność nazwisk nie była tu przypadkowa.

Mateusz Kłosek szefuje firmie Eko-Okna od zawsze, czyli od 1998 r. Rozwinął ją na tyle, że rocznie miał 2 mld zł przychodu i dziesiątki milionów zysku. Produkujące okna i drzwi przedsiębiorstwo działało w Raciborzu i okolicach, zatrudniało tysiące pracowników. Miało też katolicką księgarnię-kawiarnię o optymistycznej nazwie Niebo.

Nazwa wzięła się stąd, że Mateusz Kłosek jest człowiekiem nader wierzącym. Przez półtora roku był z tego powodu w radzie nadzorczej Wydawnictwa Agape, właściciela dwumiesięcznika „Miłujcie się!” i rozsyłał SMS-y wyzywające do prenumeratry tego wybitnego czasopisma. Jego Eko-Okna sfinansowały budowę raciborskiej kaplicy i klasztoru siostr zawierzanek.

Nikogo zatem nie zdziwiło, że w kwietniu 2020 r. Kłosek zmobilizował pracowników firmy do walki z koronawirusem za pomocą modlitwy. Z zakładowego parkingu dziesiątki podwładnych Kłoska odmówiły paciorek, a potem wypuściły do nieba ogromny różaniec złożony z balonów wypełnionych helem. Jak wynikało z firmowego Facebooka, miał to „być symbol błagania Nieba o odsunięcie pandemii, ale też przypomnienie o czasie, jaki został nam dany na godne przygotowanie się do zrozumienia Tajemnicy Paschalnej”.

Kilka miesięcy później w polskich miastach pojawiły się wielkie plakaty: serduszek z płodem w środku. Potem objawił się billboard z malutkimi różkami. W kolejnych tygodniach doklejało do nich hasła i wyjaśnienie, o co chodzi. Do dziecka w brzuchu dopisywano słowo „życie” w kilku językach, a do wielkiej foty płodzików – obwieszczenie: „mam 11 tygodni”.

Całą tę akcję nietrudno było skojarzyć z wydanym parę tygodni wcześniej wyrokiem trybunału Julii Przyłębskiej, zakazującym przerywania ciąży, gdy płód nie rokował dłuższego samodzielnego życia. Wszystkie megaplakaty miały sygnaturę autora: reklamowały Fundację Kornice (znaczy Fundację Nasze Dzieci pod inną nazwą).

Wkrótce płody i różki poznikały, a ich miejsce zajęły setki plakatów z wymazanym infantylnym charakterem pisma (tym samym charakterem co na poprzednich plakatkach) wezwaniem: „Kochajcie się mammo i tato”. U dołu widniała informacja, że za akcją stoi Stowarzyszenie Trudnych Małżeństw Sychar. W stowarzyszeniu nikt nie miał oporów, by przyznać, że cała kasa na przedsięwzięcie plakatowe przysłała do Sychara z Fundacji Nasze Dzieci – Edukacja, Zdrowie, Wiara. Znaczący od Eko-Okien Kłoska.

Talenty nie z tej ziemi

Branża szybko wyszacowała, że gdyby Nasze Dzieci za płody, mamy i tatów zapłaciły według oficjalnego cennika – kampania kosztowałaby ponad 17 mln zł. Ludziom zajmującym się zawodowo charakterystyką pospadały w tym momencie skarpetki, bo wywalenie takiej góry kasy na plakaty to ich zdaniem marnotrawstwo, o jakim świat dobroczynny nie słyszał.

Biznesmeni też postukali się w czoło, bo żeby z takich kampanii reklamowych był choć zysk wizerunkowy. A tu nie było, bo plakaty reklamowały coś innego niż fundację, która dawała na to szmalec. Ludzie prowadzący biznesy rozumieliby także to, że daje się zarobić firmom reklamowym, których się jest właścicielem. A tu nic z tego. Nawet drukarnia, która billboardy drukowała, też nie miała biznesowo nic wspólnego z Eko-Oknami. Biznes zatem pokiwiał głowami i doszedł do konstatacji, że co prawda bogatemu wolno robić z własną kasą, co mu się podoba, ale Kłowski wyraźnie odbiło.

To samo powiedzieli przedsiębiorcy, gdy wypłynęły koszty kampanii reklamującej „ziemię, tę ziemię”. Billboardy promujące cytaty z Wojtyły kosztowały co najmniej 7 mln zł. Łącznie Eko-Okna na promowanie nie wiadomo czego i kogo wywaliły w ciągu dwóch lat ponad 20 mln zł.

Ile Fundacja Nasze Dzieci wydała na resztę działalności statutowej, nie wiadomo. Jednak po przejściu jej pozaplatkowej działalności nie podejrzewam, żeby było to jakoś szczególnie dużo. Nasze Dzieci zajmowały się „projektami charytatywnymi głównie dotyczącymi dzieci i rodziców, osób niepełnosprawnych i śmiertelnie chorych”. Konkret – jedyny – to uruchomienie telefonu interwencyjnego działającego w godz. 8.00–22.00. Dzwonić mogli ludzie, którzy znajdowali się w trudnej sytuacji, panie w ciąży oraz pary, których cięższe zostały zdiagnozowane jako potencjalnie chore lub niepełnosprawne.

Milion złotych, który raciborski szpital dostał, gdy w 2020 r. zamieniono go w placówkę leczącą

deski w Polsce to dla Niemców zbyt długo. Choć wcale nie o to chodzi, bo po prostu sprzedaż parkietu w Niemczech w 2024 r. spadła o 40 proc. Kiedyś to my byliśmy tańsi, szybsi i chętniejsi do roboty. Dziś Niemcy mówią: „Dziękujemy, wracamy do siebie”. I przenoszą nawet tak wyrafinowaną technologię jak suszenie deski.

● Nie wiadomo, czy Polska faktycznie wyprzedziła Szwajcarię, ale jedno jest pewne: nasze banki właśnie się do niej upodabniają. Bo niezależnie od tego, co się dzieje w gospodarce, ile kosztuje masło i czy ktoś właśnie stracił pracę, bankom zawsze jest dobrze. A czasem nawet lepiej. NBP poinformował, że w pierwszych pięciu miesiącach 2025 r. sektor bankowy zarobił 20,9 mld zł na czysto. To o 20,4 proc. więcej niż w tym samym czasie rok wcześniej. A przecież 2024 r. już był rekordowy – z zyskiem 40,2 mld zł. Przychody urosły o 6,2 mld zł, a koszty tylko o 2,2 mld. Największy udział w tej orgii zysków mają oczywiście odsetki – aż 46,4 mld zł, czyli 9 proc. więcej niż rok temu. WIBOR co prawda leci w dół, ale bankowe przychody wciąż idą w górę. Taki cud gospodarczy. Sam maj 2025 r. przyniósł sektorowi 4,36 mld zł zysku netto. Rezerwy kredytowe? Spadły o 20 proc. Rezerwy frankowe? Co prawda lekko w górę, ale już nie tak strasznie jak kiedyś. Klienci nie bankrutują, firmy oddychają, ludzie pracują. Wszystko działa. Zwłaszcza Excel. „Pierwsze 1–1,5 pkt. proc. obniżek stóp banki będą w stanie w dużej większości zamortyzować” – przekonują eksperci. A jak

się dobrze zepną, to może nawet rekord 45 mld zł zysku pęknie w 2025 r. Nic dziwnego, że czytając to, człowiek się zastanawia, czy może zamiast brać kredyt, trzeba było założyć bank?

● W kraju, w którym coraz mniej ludzi chce brać ślub, a coraz więcej chce rozwodu – rządzący wpadli na pomysł, jak to zmienić. Otóż chcą płacić. Nie za dziecko, nie za wybitne osiągnięcia, nie za wynalezienie szczepionki na raka. Tylko za to, że ktoś pięć dekad wcześniej powiedział „tak” i jeszcze się z tego nie wycofał. Senat właśnie rozważa projekt, który zakłada wprowadzenie „małżeńskiego świadczenia jubileuszowego”. Premia? 5 tys. zł za 50 lat razem. Każde kolejne pięć lat to kolejny tysiąc. I tak aż do 80-lecia, po którym – jeśli ktoś dożyje – państwo przestaje liczyć, ale dalej płacić może. „Górną granicę nie przewidziano”. Bo przecież „trwałe małżeństwo to fundament rodziny”, a rodzina to fundament państwa. A że fundament czasem pęka, bo bije, pije albo znika na trzy dni – to już szczegół. Najważniejsze, żeby był. Policzono, że „w 2025 r. par z 50-letnim i dłuższym stażem jest 186 tys.”. Czyli w przyszłym roku wydalibyśmy na nie 930 mln zł. I to tylko za pierwszy próg. Potem będą kolejne jubileusze i kolejne wypłaty. W międzyczasie kobiety wciąż będą musiały walczyć w sądach o groszowe alimenty, a ofiary przemocy domowej usłyszą, że „może jeszcze warto spróbować się dogadać”.

TTJ



Fot. TOMASZ WOLCZYŃSKI

wyłącznie covid, też nie poszedł z konta fundacji, ale wprost z Eko-Okien.

Może zatem cytaty z papieża-Polaka były formą nowoczesnej ewangelizacji? Dwóch księży, do których zwróciłem się z tym pytaniem, wyśmiało samą ideę. Trzeci przytoczył zaś przypowieść o talentach, twierdząc, że bezsensowne wywalenie pieniędzy to dla katolika grzech.

Dla bogatego katolika też – zwłaszcza takiego, który po przepaleniu ciężkiej kasy na billboardy, pożyczył z PKO BP 142 mln zł. To bowiem pokazywało, że firma ma się niefajnie. I nie pomogło jej nawet to, że w 2023 r. wizytował ją ówczesny premier Morawiecki. Ani to, że powiedział on wtedy, że „polskie okna to dzisiaj nasz podstawowy produkt eksportowy: Europejczycy coraz częściej wyglądają przez polskie okna”.

Praca za donos

Kilkanaście miesięcy później przyszedł zwolnienie. Tysięczne, zapowiadane oficjalnie. Bo w Eko-Oknach nie ma już „najlepszego pracodawcy”, jakiego reklamowano na billboardach. W Eko-Oknach są wyłączone dodatki, zmniejszone premie, ucięte prowizje. Zamiast podświetlanych cytatów z Jana Pawła II pojawiły się oferty sprzedaży hal produkcyjnych. W 2023 r. firma jeszcze miała zysk netto na poziomie niemal pół miliarda złotych. Po upadku Morawieckiego, w 2024 – już tylko 100 baniek.

Firma Kłoska znalazła się więc na innej ziemi; nie tej, którą miał odnowić duch. I ewangeliczne nauki jej tym razem nie uratują; Raciborzanie i Wodzisławianie mogą uznać, że cytaty z JP2 nie podniosą ich na duchu w drodze do pośredniaka.

Fatalna sytuacja w Eko-Oknach – to nie tylko problem gospodarczy. To pokazowy przykład tego, jak wygląda dezintegracja wspólnoty pracowniczej, gdy zarząd firmy myli wiarę z pychą, a modlitwę z PR-em.

W czerwcu z firmy wyleciało prawie 1 tys. osób. Oficjalnie – zakończone umowy czasowe. Nieoficjalnie – uniknięcie zwolnień grupowych, które nakładają na pracodawcę obowiązki informacyjne i negocjacyjne. Zamiast jasnego komunikatu i rozmowy ze związkami przysłała fala cichych pożegnań, często z ludźmi, którzy dopiero co przyjechali tu z nadzieją na lepsze życie – z Ukrainy, z Kolumbii. To im – cudzoziemcom – dziękowano w pierwszej kolejności. A przecież jeszcze chwilę wcześniej Kłosek chwalił się wielokulturowością firmy jako dowodem na jej otwartość i misyjność.

Potem do pracowników przyszedł mail. Nie od papieża, tylko z działu HR, z którego biło zdanie jak z policyjnego komunikatu: „Nie chcemy pomagać narkomanom”. I numer „zaufania”, pod który można donieść na kolegę z linii produkcyjnej. Co nabierało szczególnego posmaku w kontekście faktu, iż kilka lat wcześniej sam właściciel publicznie

opowiadał o swoim uzależnieniu i drodze trzeźwienia. Teraz dla tych, którzy mają problem, nie ma wsparcia – tylko numer, pod którym można ich zademonstrować.

Złamano zasady godności pracownika. Zastraszano. Zmieniano regulamin wynagradzania bez konsultacji. Zawieszono dodatki do dojazdów, ucięto premię weekendową. Próbowano outsourcingować sprzątanie i gastronomię, żeby obejść kodeksy pracy i zredukować etaty bez formalnych zwolnień. Związkowcy, którzy usiłowali reagować, zostali przez zarząd zignorowani, a ich argumenty nazywano „drogą do likwidacji miejsc pracy”.

A to wszystko w firmie, która jeszcze rok temu miała mieć wzrost produkcji o 40 proc. – bo tak założył zarząd. I na tej podstawie zatrudniono tysiące ludzi. Gdy się okazało, że wzrostu nie było, nikt z kierownictwa nie poniósł konsekwencji. Nikt nie odszedł. Nikt nie przeprosił.

Problem nie dotyczy już tylko Kornic, ale i zakładów Kłoska w Wodzisławiu czy Kędzierzynie-Koźlu. W najbliższych miesiącach fala zwolnień ma objąć je wszystkie. Mówi się o redukcji 40, a nawet 50 proc. zatrudnionych. Szacuje się, że łącznie z pracą pożegnają się może nawet 6 tys. ludzi.

Największym błędem Mateusza Kłoska nie była ani modlitwa, ani cytaty z papieża. Było nim to, że pomylił religijne uniesienie z odpowiedzialnością biznesową. Że chciał zbawiać świat balonami z różańcem, a nie zauważył, że ludzie potrzebują stabilnej pracy, uczciwej pensji i szacunku.

Że nie po to codziennie przychodzili do roboty, by potem w komunikacie przeczytać, że są „niewystarczająco uczciwi”, bo mają problem, z którym on sam kiedyś się zmagał.

Kiedyś Eko-Okna to była „ziemia obiecana” – dziś to „ziemia przeinwestowana”. A duch, który miał ją odnowić, chyba już się stąd wyniósł. Razem z nadzieją na to, że z wiary można zrobić biznesplan.

TADEUSZ JASIŃSKI

REKLAMA

PROF. RYSZARD SZARFENBERG
JAK SOCJAL WYGRAŁ Z POLITYKAMI

HOŁOWNIA, CZYLI HARAKIRI

DR JACEK DĘBIEC
SNUSY, SASZETKI, UŻYWKI W POLITYCE

OBLAWA AUGUSTOWSKA
– NIEDOKOŃCZONA TRAGEDIA

tygodnikprzeгляд.pl

Nie płacz Ewka

Czyja jest prokuratura?

Ewa Wrzosek, najdzielniejsza z dzielnych prokuratorów, rozkleja się nagle w telewizorze. Odebrano jej bowiem śledztwo, w którym mogła postawić zarzuty Jarosławowi Kaczyńskiemu za słynne dwie wieże, i nie widzi się w niej, jak twierdzi, człowieka.

Po zwycięstwie Karola Nawrockiego w wyścigu po najważniejszy stolec w państwie, wewnętrznych tarcich w koalicji rządowej czy nocnych przejażdżkach marszałka sejmu Szymona Hołowni w okolicy apartamentowca pisowskiego pijarowca wagi ciężkiej, Adama Bielana, to nie przypadek, ale reguła.

Wrzosek zrzucano z sań, bo z liczby 5833 prokuratorów w Polsce większość ma poglądy stale zbliżone do Zbigniewa Ziobry – i Dariusz Korneluk, prokurator krajowy, musi się z tym liczyć. Bo nie miałby „kim robić” w podległej sobie instytucji.

W tej masie śledczych wielu zostało ambicjonalnie skrzywdzonych, gdyż Adam Bodnar jako prokurator generalny wyrwał im spod tyłka kierownicze stołki. I to boli tak, że większość – stawiamy śmiało taką tezę – nie głosowała na Rafała Trzaskowskiego. Było, co zabawne, jeszcze gorzej.

– Zagłosowałem na Nawrockiego – mówi prokurator okręgu białostockiego.

– Nie miał pan z tym problemu, znając, jak my wszyscy, kontrowersyjną przeszłość prezydenta elekta?

– Najmniejszego. Tak postąpiło wielu z nas, którzy za Ziobry albo awansowali, albo przynajmniej, po przyjściu do władzy PiS na całe osiem lat, nie byli degradowani. Ziobro, jeśli chodzi o zarządzanie firmą, był i jest demonizowany przez mainstreamowe media.

– To teraz być może w podzięce za zezowanie w stronę byłego gangusa i jego politycznych protektorów doświadczenie od Tuska Romana Giertycha jako prokuratora generalnego...

– I co to zmieni? Jesteśmy dobrzy w robieniu obstrukcji i przeciąganiu śledztw w nieskończoność. Zamiast

Casus Ewy Wrzosek i prokuratorów głosujących na Nawrockiego może jednak nieco fałszować obraz jakoby trwałego i nieusuwalnego w samym rdzeniu „uziobrowienia” prokuratury i jej imposybilizmu. Po opublikowaniu niedawno przez Prokuraturę Krajową dwóch obszernych raportów dotyczących „skręcanych” za PiS-u śledztw, również tych dotyczących mowy nienawiści – a to przecież konik Bodnara – w takiej dla przykładu Prokuraturze Regionalnej w Białymstoku przegląda się dawne sprawy, by, co prawdopodobne, robić prokuratorom dyscyplinarki. I podobnie, jak mówią wiewiórki, dzieje się w całej Polsce.

Ale z drugiej strony, niedawno tuskowa prokuratura wycofała nagle, na chwilę przed pierwszą rozprawą, akt oskarżenia przeciwko policjantowi, który w czasach rządów PiS w 2022 r. nie wpuścił do Białowieskiego dwóch posełanki KO. Funkcjonariusz powołał się na fakt, że obowiązywał tam zakaz przebywania osób postronnych w związku z kryzysem humanitarnym na pograniczu polsko-białoruskim – olewając ich immunitet i prawo do kontroli obywatelskiej.

– Oczywiście posłanki po wydaniu postanowienia przez sąd po tej niespodziewanej cofce, będą mogły złożyć zażalenie na działanie prokuratury i dalej wierzyć, że sprawiedliwość dopadnie tego przebywającego już na emeryturze policjanta, ale to próżna nadzieja – twierdzi nasz rozmówca z prokuratury.

– Zakłada pan, że Tusk im nie pozwoli na to zażalenie?

– Wygląda na to, że rząd od kampanii prezydenckiej konsekwentnie broni mundurów pracujących na granicy z Białorusią i uderza w aktywistów, którzy pomagają migrantom.

– A może rząd zagra na dwóch fortepianach: cofnięto akt oskarżenia przeciwko glinie, to może też zrobi tak również w przypadku opisywanej przez „NIE” od wielu miesięcy sprawy piątki z Hajnówki?

– Po głośnym ostatnio zabójstwie 24-latkę przez Wenezuelczyka nikt nie będzie miał odwagi.

JMP

PS Wyznaczono termin być może już ostatniej rozprawy w procesie piątki z Hajnówki. 2 września mamy usłyszeć mowy końcowe i być może wyrok.



Rys. MIROSLAW HAJNOS

stawiać zarzuty, można grać na czas. Proszę spojrzeć na sprawę podlaskiego posła Adama Andruszkiewicza, który pojawia się w śledztwie dotyczącym fałszowania podpisów pod listami poparcia w wyborach sprzed kilkunastu lat. Tam lubelska prokuratura od dekady bada każdy podpis. A są tego tysiące. Taki przyjęła modus operandi i twardo się go trzyma. Postawię tezę, że to postępowanie zakończy się wtedy, kiedy prawica znowu wróci do władzy.

WIĘŚCI GMINNE i INNE

■ Ciekawe rzeczy dzieją się na niemieckiej granicy. Polski rząd wprowadził tam „tymczasowe” kontrole, co sprawiło, że na przejściach, które jeszcze niedawno pokonywano się w kilka sekund, tworzą się gigantyczne korki. W Świecku kolumna samochodów porusza się z prędkością 5 km/h i ciągnie przez 10 km. Ktoś najwyraźniej postanowił uderzyć w rząd Donalda Tuska poniżej pasa, bo niemal równocześnie z wprowadzeniem kontroli drastycznie spadły ceny paliw. W pasie przygranicznym – na Orlenie, BP i Circle K – nawet o 90 groszy na litrze. Efekt? Niemcy ruszyli po tanie paliwo, turystyka tankowania rozkwitła, a korki zrobiły się jeszcze dłuższe. Tak się dziś robi politykę: trochę petroli, trochę promocji – i już wszystko stoi.

■ Setki Polaków zatrudnionych w centrach dystrybucyjnych sieci Albert Heijn

w Holandii rozpoczęły strajk, domagając się sprawiedliwości i godności. Napięcie rośnie. Robotnicy zatrudnieni przez agencje pracy tymczasowej zarabiają średnio o 37 proc. mniej niż etatowi na tych samych stanowiskach. Brak premii, krótsze przerwy i gorsze traktowanie. „Nie dostajemy dodatków, pracujemy więcej za mniej” – skarży się polska klasa robotnicza. Albert Heijn, próbując umyć ręce, wydał lakoniczne oświadczenie: „Spór dotyczy agencji pracy i związków zawodowych, nie samej sieci”. Serio? Doradzalibyśmy sieci zmienić podejście. Historia zna już gniew polskiego ludu, a ten gniew potrafił obalić nie tylko stocznice i magazyny, ale i całe systemy.

■ Trójca Kaczyński–Gliński–Morawiecki swoimi „genialnymi” pomysłami finansowymi skutecznie wyczyściła portfele Polaków. Efekt? Polska znalazła się w ogniu Europy pod względem oszczędności. Zgodnie z danymi Związku Przedsiębiorstw Finansowych zajmujemy trzecie miejsce od końca, ze stopą oszczędności na poziomie zaledwie 2 proc. Gorzej radzą sobie jedynie Grecja i Rumunia. Dla porównania: średnia unijna to około 13 proc. A co to oznacza w praktyce? Że z każdego 100 zł dochodu rozporządzalnego polskie gospodarstwo domowe jest w stanie odłożyć tylko 2 zł. Reszta idzie

na bieżące wydatki, rachunki i rosnące koszty życia. Przyczyny są oczywiste: wysoka inflacja, która zjadała oszczędności miesiąc po miesiącu, oraz zenująco niskie oprocentowanie lokat, które bardziej zniechęca do oszczędzania, niż motywuje. W tym samym czasie Związek Przedsiębiorstw Finansowych z dumą raportuje, że Polacy na koniec zeszłego roku mieli 181,5 mld zł długu. Tyle, jeśli chodzi o dobrobyt.

■ Grupa „ponad” 20 afgańskich inżynierów wykopła tunel pod „techniczną zaporą” na wschodniej granicy Polski – donosi Michał Bura z Podlaskiego Oddziału Straży Granicznej (nie wiemy, co dokładnie oznacza słowo „ponad” w kontekście liczenia ludzi – może 21, może 21,5?). Budowniczych zatrzymano – informuje buńczucznie rzecznik SG. Doradzalibyśmy jednak nieco więcej pokory. Afgańska szkoła inżynierii tunelowej swego czasu poradziła sobie z niezwykłą Armią Czerwoną, a to już wyczyn. Potencjał polskiej straży granicznej – mimo licznych konferencji prasowych – nadal niebezpiecznie odbiega od tego porównania.

■ Policjanci i strażnicy miejscy ze Świętochłowic rozpoczęli wakacyjną akcję „Bilet na basen... zamiast mandatu”, zachęcając mieszkańców do korzystania z legalnych ką-

SŁOWO CZERWONE

NIE DOTYCZY DUMNYCH POLAKÓW

Za kogo się wstydzę

Brunatne bataliony

Zadzwoił do mnie Palestyńczyk, któremu chuligan zdemolował samochód i powybił szyby w oknach, wykrzykując rasistowskie hasła. Policja go szybko ujęła, bo był pijany w sztok. Jednak po noclegu na posterunku został wypuszczony.

Obawiam się, że gdyby napadnięty był Polak, sprawca nie zostałby tak szybko zwolniony. Człowiek, który padł ofiarą tego czynu, ma polskie obywatelstwo – ale nie polski wygląd. Kiedy chcieliśmy sprawę nagłośnić, nie zgodził się, bo się boi zemsty ze strony środowisk neofaszystowskich. Trudno się dziwić, skoro policja tak szybko wypuściła bandytę, rasistę. A prezydent ułaskawił typa, który organizuje antyimigranckie bojówki.

Wśród narodowców popularne jest hasło „jestem dumny, że jestem Polakiem”. Oczywiście

to, że ktoś się gdzieś urodził, nie jest jego zasługą – ani tym bardziej powodem do dumy. A w miarę jak coraz większa część Polaków i Polek staje się ksenofobami, powody do dumy z polskości topnieją.

Ja się za pracodawcę, który 50 Kolumbijczykom nie wypłacił żadnego wynagrodzenia za miesiąc ciężkiej pracy w chłodni, po prostu wstydzę. I kierowany tym wstydem zrobiłem co w mojej mocy, aby tym ludziom pomóc. A jeszcze bardziej się wstydzę za polską policję i prokuraturę, które nie tylko nie ścigają sprawcy tego czynu – w myśl polskiego prawa będącego przestępstwem – ale godzą się na to, że firma pod Skierniewicami dalej zatrudnia cudzoziemców i nie płaci za pracę.

Ktoś powie, że Kolumbijczycy są źli, bo jeden z nich pchnął nożem jednego z nękających go rasistowskich chuliganów. Oczywiście taki czyn nie ma wytłumaczenia. Ktoś, kto dźga inną osobę nożem, jest bandziorem. Ale czy to znaczy, że indywidualny czyn ma się kłaść cieniem na wszystkich ponad 100 tys. Kolumbijczyków, którzy do nas przyjechali, aby znaleźć zatrudnienie i wydzwignąć się z nędzy? Nie – tak jak nie świadczy o Polakach fakt, że Po-

lak poharatł kobietę maczetą. Grozi mu za to dożywocie, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie wnioskuje, że Polacy to bandyci. Odpowiedzialność zbiorowa to jedna z podstawowych broni nacjonalistów, rasistów, szowinistów.

Polacy na Wyspach też nie wszyscy są aniołami. I zawsze, kiedy dochodziło do poważnego przestępstwa popełnianego przez kogoś z naszych, wybuchała tam antypolska histeria i wznoszono hasła „Polacy do domu”. Wielka Brytania dla Brytyjczyków.

Niemcy przywożą nam ukradkiem niewielkie paki co grupki obcokrajowców. Robią to najprawdopodobniej bez zgody przywoźonych. Niemiecka policja popełnia przestępstwo, przewożąc ludzi bez ich zgody do kraju, do którego ci ludzie wcale nie chcą przyjechać. Dlaczego Niemcy to robią? Bo u nich też jest skrajna prawica w stylu braunowców czy konfederatów. W Niemczech łatwiej niż w Polsce rozbujać antychodźcze nastroje, bo imigrantów jest nieporównanie więcej niż u nas. W obawie przed faszycyzacją Republiki Federalnej władze niemieckie ulegają naciskom neonazistów. W Polsce problem nielegalnej imigracji jest ledwie zauważalny. Nie ma oficjalnych danych, ale wiadomo, że – w porównaniu z innymi krajami – mówimy o garstce ludzi. I wiele wskazuje na to, że ta liczba przestała rosnąć. Na szczęście dzięki działaniu służb, a nie bojówkarzy, którzy krążą wzdłuż granicy w nadziei, że znajdą kogoś, kogo można będzie pobić.

W każdym demokratycznym kraju obowiązuje monopol państwowy na przemoc. Ktoś, kto stosuje przemoc na własną rękę, podlega karze więzienia.

Tylko że w kraju, gdzie gość nęgający Holokaust jest wybierany do parlamentu, przestrzeganie tej zasady robi się coraz bardziej wątpliwe. Skoro można bezkarnie negocjować największą zbrodnię w dziejach ludzkości – pobicie niemieckiego profesora za to, że w tramwaju mówił po niemiecku, staje się normą. Bicie kobiet protestujących przeciw drakońskiemu prawom aborcyjnym też staje się normą. Skoro prezydent może grozić sędziom powieszeniem, nietrudno sobie wyobrazić, co „patrole obywatelskie” mogą zrobić imigrantom, kobietom, dzieciom i starcom, których jedyną winą jest to, że są biedni i uciekają przed nędzą, wojną, dyktaturą.

Bojówki NSDAP były i mordowały Żydów. Jeszcze nie wiemy, do czego są zdolne bojówki ułaskawionego niedawno Bąkiewicza. I mam jednak nadzieję, że się nie dowiemy.

PIOTR IKONOWICZ

Renta wdowia miała być przełomem. Miała przywracać godność, łagodzić stratę, zapewnić byt tym, którym życie postanowiło przedwcześnie zabrać towarzysza codzienności. Miała być sztandarem polityki społecznej rządu, który ogłasza się jako ten od „normalności”, „bliskości ludziom”, „społecznej czułości”. W dokumentach wygląda to jak marzenie. W rzeczywistości – jak żart. Nieśmieszny i w złym guście.

Ochłap w sosie frazesów

1 lipca w systemie ZUS i KRUS odnotowano ponad milion wniosków. Ministerka Agnieszka Dziemianowicz-Bąk nie kryła dumy, prezentując liczby. Problem w tym, że to tylko statystyka. W rzeczywistości średnia kwota świadczenia wynosi 350 zł. Brutto, za miesiąc. Dokładnie tyle, ile kosztuje jedna wizyta u specjalisty prywatnie. Albo miesięczny koszt leków ratujących życie.

Ale rząd nie mówi o kwotach. Nikt nie powie wdowie czy wdowcowi, że jeśli zdecydują się na połączenie swojego świadczenia z częścią renty po zmarłym małżonku, to dostaną ochłap. Nikt nie doda, że te 350 zł to najczęstszy wariant. Bo choć ustawa zakłada możliwość wyboru – albo 100 proc. własnego świadczenia i 15 proc. renty po zmarłym, albo odwrotnie – to przecież każdy, kto kiedykolwiek obliczał ZUS-owską arytmetykę, wie, że „wybór” to tylko elegancki eufemizm dla „opcji bez sensu”.

W senacie padają pytania o realność tej pomocy. Rzecznik praw obywatelskich dostaje skargi na wysokość, dostępność, terminy wypłat. Ministerstwo odpowiada: weryfikacja dopiero w 2028 r. Przez trzy lata będzie można mówić o sukcesie, przypinać medale i powtarzać narrację o milionie wniosków.

Dopóki z renty wdowiej nie da się opłacić prądu, leków i jedzenia – nie mówmy, że to sukces. Dopóki wypłata przypomina napiwek zostawiony przy trumnie – nie mówmy, że to pomoc. A dopóki wdowy muszą wybierać, czy zapłacić czynsz, czy kupić mięso – nie mówmy o godności.

Dla bękartu nie ma

Kiedy 1 lipca ZUS ruszył z wypłatą renty wdowiej, na rządowej choince sukcesu zawisł jednak jeden niepożądany ornament: pozew. Nie w kraju. W Strasburgu. Do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Złożony przez organizację o nazwie „Rodzice Solo i Emerytura Solo”.

Stowarzyszenie twierdzi, że państwo urządziło sobie system emerytalno-rentowy według logiki przyjęć do sanatorium: kto miał żonę, ten wędzię szybko. W skardze do ETPCz piszą, że samotne matki są przez ustawę systemowo wykluczane tylko dlatego, że męża nie mają. Twierdzą, że przez całe życie zawodowe płacą identyczne składki jak małżonkowie – i to nie symbolicznie, ale średnio 250 tys. zł każda – po czym na starość mogą sobie powiesić na lodówce dyplom za wzorowe wspieranie Funduszu Rentowego, z którego to pieniędzy finansuje się dziś przywileje dla tych, którzy żyli we dwoje, dziedziczyli razem i zabezpieczali się wspólnie. Samotne mają natomiast wybór: być biedne albo zostać wdowami poprzez znalezienie męża i jego szybki pochówek.

Pozornie może się wydawać, że mamy do czynienia z kolejnym roszczeniowym protestem. Ot, grupa kobiet z banerami domaga się, by ktoś coś im dał. Ale wystarczy przeczytać treść skargi, by zrozumieć, że to nie są postulaty – to akt desperacji.

Władza się oburza. Straszy, że to atak na rodzinę, na wartości, na wspólnotę. Tymczasem prawdziwy atak na wspólnotę to zbudowanie prawa, w którym człowiek jest tyle wart, ile jego stan cywilny.



Wdowia przyszłość narodu

Czy można się dziwić, że notowania rządzących są takie, jak są?

W kraju, gdzie propaganda sukcesu ma więcej zer niż emerytura statystycznego seniora, trzeba było pozwu do Trybunału Praw Człowieka, by ktokolwiek zauważył, że samotnych rodziców nie ma nawet na marginesie. I teraz, kiedy rząd z jednej strony cieszy się milionem wypłat, a z drugiej milczy w sprawie samotnych matek, warto zapytać: kto tu naprawdę łamie zasadę solidarności społecznej? Ci, którzy proszą o równość, czy ci, którzy ją reglamentują?

Według władzy państwo przecież pomaga. Władza pokazuje zestaw ulg, dodatków i preferencji, które w rzeczywistości są równie dostępne jak fotel ministra dla przeciętnego mieszkańca Płońska.

Weźmy najpierw tę ulubioną mantrę władz skarbowych – ulgę dla samotnych rodziców w PIT. Niby prosto: samotny rodzic rozlicza się jak małżeństwo, czyli podatek liczony jest podwójnie, ale od połowy dochodu. W teorii – ułatwienie. W praktyce – tor przeszkód. Bo choć ustawa przewiduje warunki, jakie należy spełnić, to kluczowego terminu „samotnie wychowywa-

nie dziecka” nie definiuje w ogóle. Więc to, czy jesteś samotny według ustawy, zależy nie od twojego życia, lecz od interpretacji urzędnika, skarbowki i ewentualnego sędziego. Przepisy cytują, że chodzi o pannę, kawalera, wdowę, rozwódkę, osobę po separacji, rodzica pozabawionego współmałżonka z powodów sądowych. Ale jeśli mieszkasz z kimś, z kim nie masz ślubu, ale razem wychowujecie dziecko – to już nie. Choćbyś płaciła rachunki i opiekowała się maluchem sama, formalnie nie jesteś „samotna”. Jeśli drugi rodzic pojawia się raz na ruski rok – ale nie został pozabawiony władzy – ulga nie przysługuje. A nawet jeśli wszystko się zgadza, ale pracodawca nie przyjął twojego oświadczenia, to ulga dopiero przy rozliczeniu rocznym. I znów: może, ale nie musi zostać uwzględniona.

Się nie należy

Ale państwo w broszurach i programach informacyjnych pokazuje, że samotny rodzic może uzyskać do 3 tys. zł miesięcznie. I niby wszystko

się zgadza – tylko że po drodze trzeba spełnić tyle warunków, że ten, kto się załapie, powinien dostać nie tylko pieniądze, ale i medal za wytrwałość. Próg dochodowy przy zasiłku rodzinnym? 674 zł na osobę. Gdyby samotny rodzic naprawdę tyle zarabiał, to i on, i dziecko już dawno by zmarli z głodu. Dodatek z tytułu samotnego wychowywania dziecka? 193 zł. Ale tylko wtedy, jeśli już masz zasiłek rodzinny. I tylko do wysokości 386 zł na wszystkie dzieci. Gdybyś więc samotnie wychowywał trójkę, to w przeliczeniu na głowę wychodziłbyś mniej niż 130 zł. Czyli tyle, ile kosztuje tydzień obiadów w szkolnej stołówce. Ale spokojnie – i tak się nie załapiesz, bo zasiłek rodzinny dostają tylko ci, którzy żyją na poziomie statystycznego bezdomnego.

Fundusz alimentacyjny? W teorii brzmi świetnie. Pomoc państwa, jeśli alimenty nie są płacone. W praktyce – kolejny kit. Bo kryterium to 1209 zł na osobę w rodzinie. Jeśli przekroczysz ten próg – choćby o złotówkę – to dostaniesz mniej. Złotówka za złotówką.

I są jeszcze dodatki: becikowe, kosiniakowe, świadczenie aktywizacyjne. Ale tylko dla tych, którzy spełniają warunki. Na przykład: ojciec nie żyje, ojciec nieznan, ojciec porzucił dziecko, ojciec siedzi w więzieniu albo sąd kazał matce wychowywać samej. I uwaga: nie chodzi tu o rzeczywiste obowiązki rodzicielskie, ale o papier. Brak wpisu, brak dodatku. Świadczenie kosiniakowe? 1000 zł miesięcznie. Ale tylko dla tych, którzy nie mają prawa do zasiłku macierzyńskiego. A więc musisz być bezrobotna, studiująca albo zatrudniona na umowie śmieciowej. Państwo nagradza więc tych, którzy pracują najmniej, bo ci, którzy próbują utrzymać siebie i dziecko, wypadają z systemu.

Czasem jednak pojedynczemu rodzicowi coś się uda. Dziecko przyjmą do przedszkola, bo samotni mają tam priorytet. To fakt. Ale jedno miejsce w przedszkolu nie rozwiązuje problemu. To nie jest systemowe wsparcie, to raczej zmiłowanie.

Tymczasem w kraju, gdzie zapaść demograficzna staje się narodowym dramatem, państwo nie potrafi wesprzeć tych, którzy – mimo wszystko – zdecydowali się wychować dziecko samotnie.

Bo to, co dziś oferuje samotnym rodzicom system, to fikcja. To wielka, pełna pustych przepisów i pozornych ulg dekoracja, za którą nie ma żadnego realnego wsparcia. Są broszury, są plakaty, są kampanie informacyjne. Ale nie ma pomocy. Władza mówi o rodzinie, ale samotnym rodzicom pokazuje plecy. Nie dlatego, że nie może. Ale dlatego, że nie chce. Bo samotność rodzica w Polsce jest winą, za którą płaci dziecko. A samotność kogoś, kto się nie rozwiódł, jest cnotą zasługującą na wychwalaną rentę będącą niczym innym jak głodowym wdowim groszem.

TADEUSZ JASIŃSKI

pielisk. Zamiast kar finansowych za kąpiel w niebezpiecznych, niestrzeżonych akwenach wręczają bezpłatne bilety na miejski basen. Celem akcji jest edukacja i profilaktyka. Służby informują o zagrożeniach związanych z dzikimi kąpieliskami oraz promują bezpieczny wypoczynek. Bilety funduje Ośrodek Sportu i Rekreacji Skalka.

■ Sześciu Argentyńczyków pracowało w rzeźni pod Częstochową w skrajnie złych warunkach, nawet po 18 godzin dziennie, częściami na czarno, pod groźbą deportacji i kar finansowych za odmowę pracy ponad siły. Prokurator Tomasz Ozimek, rzecznik Prokuratury w Częstochowie, poinformował, że pracownicy podpisywali podwójne listy obecności, a część wynagrodzenia otrzymywali poza oficjalnym systemem. Właściciel zakładu nie zgłosił również wypadku przy pracy. Instruował rannego, by powiedział w szpitalu, że skaleczył się w domu. Wbrew temu, o czym wciąż się milczy, narasta w Polsce problem legalnych emigrantów, których traktuje się jak nielegalnych niewolników.

■ Od marca mieszkańcy Sędziszowa Małopolskiego, którzy

złe segregują odpady, otrzymują ostrzeżenie w postaci naklejki. Tak oznaczone śmiecie nie są odbierane. Trzeba je posegregować ponownie. Przy powtórzeniu się sytuacji wchodzi w życie kara: opłata za wywóz rośnie z 16 zł do 47 zł miesięcznie za osobę. Celem ma być zwiększenie poziomu recyklingu. Paradoksalnie jednak to właśnie recykling jest dla gmin droższy: przetworzenie tony plastiku kosztuje nawet 3200 zł, podczas gdy odpady zmieszane to koszt zaledwie 600–700 zł za tonę. Mieszkańcy płacą więcej za niesegregowanie, choć gmina płaci mniej. Logika? Nie szkodzi. Ważne, że jest system. Brawo nasi!

■ Piastów (ten pod Warszawą) remontuje 1,5 km alei Piłsudskiego. Koszt: 24 mln zł, czyli 16 tys. zł za 1 m. Droga, moim zdaniem, nie była tragiczna, ale niech będzie. Mnie jednak nurtuje co innego. Jeżdżę tamtędy moim leciwym, ale sprawnym Subaru (wartym jakieś 10 tys. zł). I zastanawiam się: czy to normalne, że metr drogi nie jest droższy od samochodu, którym po niej jeżdżę? Może tak, może po prostu odwykłem od oderwanej od rzeczywistości logiki inwestycji publicznych.

■ Lubuskie szasta kasą na wakacje! 32 mln zł dopłat do lotów – Egipt, Tunezja, Turcja, Albania. „Promocja regionu” – tłumaczy urzędnicy, dopłacając 830 zł do biletu. Przetargi? Jeden oferent, bez konkurencji. Hitem są loty do Warszawy (14,3 mln zł) – też promocja. Mieszkańcy pukają się w czoło – kolej w ruinie, a miejscowe władze fundują luksusowe wycieczki. Brawo, Lubuskie!

■ W miejscowości Myje (woj. wielkopolskie) tuż po godz. 3.30 imprezowy klimat osiemnastki przerwała nieoczekiwana zmiana kursu. Do policyjnego aresztu. Za kierownicą Toyoty z pasa-

żerami (w tym nieletnimi) siedziała 20-letnia funkcjonariuszka Komendy Powiatowej Policji w Ostrzeszowie. Alkomat pokazał 0,7 promila. Jak ustalili funkcjonariusze... tej samej komendy, młoda policjantka, będąca po służbie, wpadła na pomysł, że będzie „taksówką społeczną” dla rozbawionych gości urodzinowych. Trafiała do aresztu i pozostaje do dyspozycji prokuratora. Trwają też „inne czynności służbowe”.

■ To mogło skończyć się tragicznie. Na zakopiańskim osiedlu Ustup 27-letni góral podjął fatalną decyzję: wsiadł na rower! Miał aż 1,7 promila. Przed sklepem stracił panowanie nad rowerem, przewrócił się i stracił panowanie nad przytomnością. Świadkowie wezwali służby, myśląc, że doszło do wypadku śmiertelnego. Pojawiły się karetka i policja. Szybko wyszło na jaw, że przyczyną upadku była jazda na podwójnym gazie. Za nieodpowiedzialne zachowanie 27-latek zapłaci 2,5 tys. zł mandatu. Policja ostrzega: rower w rękach nietrzeźwego górala to śmiertelne zagrożenie.

■ Polska odnotowała najwyższy w całej Unii Europejskiej wzrost cen czekolady – wynika z najnowszych danych Eurostatu. W maju 2025 r. cena detaliczna była aż o 39,1 proc. wyższaniżw analogicznym miesiącu rok w-

ściej. Dla porównania, średni wzrost cen czekolady w całej UE wyniósł 21,1 proc., a drugie miejsce za Polską zajęła Estonia (37,9 proc.). Cieszymy się jak dzieci, że w czymś jesteśmy pierwsi w Europie! Brawo, my!

■ Dwukolorowy luksusowy Mercedes-Maybach – w odcieniach złota i bordo, z masywną chromowaną osłoną chłodnicy, nowoczesnymi reflektorami, panoramicznym dachem i potężnym silnikiem V12 o mocy 612 KM – rozbił się o drzewo nieopodal miejscowości Kaszewiec na Mazowszu. Za kierownicą siedziała 74-letnia emerytka. Z samochodu pozostał jedynie dowód rejestracyjny – w zaskakująco dobrym stanie. Ceny tego modelu zaczynają się od 979 900 zł. Jak donosi serwis Interia, przyczyną wypadku były „trudne warunki pogodowe, będące skutkiem niżu genuńskiego Gabriel”. Skąd w kraju, gdzie starsi ludzie wybierają między ograniczeniem mieszkania a wykupieniem leków, biorą się tacy, którzy parkują V12 na drzewie?

RJ

PS Informacje pochodzą z prasy prowincjonalnej z różnych zakątków Polski, a zatem mogą przedstawiać wersję prawdy nieco odchudzoną – jak program wyborczy tuż po ogłoszeniu wyników. Zaleca się ostrożność w wyciąganiu wniosków ogólnych, a tym bardziej prawnych.



Zgłiszczą wyzwalającą prawdę

Kościółowi wydaje się, że buduje nowy ład medialny

Wyobraźcie sobie, że jesteście biskupami i czytacie długą analizę Katolickiej Agencji Informacyjnej o tym, że „Kościół w Polsce znajduje się na poważnym zakręcie swojej historii”. I nie chodzi o kolejny zakręt cywilizacyjny, ale o skręt w stronę pobocza, gdzie leży „pełzająca sekularyzacja” zamieniona właśnie na „sekularyzację galopującą”.

Piłowanie gałęzi

Tytułem uspokojenia czytelników KAI zauważa jeszcze, że „wiara religijna wciąż stanowi istotny element polskiego pejzażu kulturowego”, ale zaraz dodaje, że coraz trudniej uznać ją za „główny wyznacznik naszej tożsamości”. Zostaje więc jedynie punkt odniesienia – i to raczej symboliczny.

Wiara deklarowana staje się bowiem jedynie deklaracją. W ciągu zaledwie sześciu lat odsetek wierzących spadł o 13 punktów procentowych – z 91 proc. do 78 proc., a liczba niewierzących wzrosła dwukrotnie – z 6 proc. do 14 proc. – i „w praktyce nie wierzy” już co czwarty Polak. Tego, że „wiara kulturowa” ustępuje miejsca „wierze z osobistego wyboru”, nie można nawet uznać za dobrą nowinę, bo indywidualna duchowość nie karmi parafii.

Msza? W 1990 r. chodziło na nią 50,3 proc. obywateli. Dziś co czwarty. Z czego, cytując raport: „8 punktów procentowych ubyło tylko w ostatnich pięciu latach”.

Młodzież, która miała Kościół nieśd dalej, dziś mu się już tylko przygląda – najczęściej z niechęcią. „Wśród młodych (18–25 lat) tylko 69 proc. deklaruje wiarę, a zaledwie 4 proc. uważa się za głęboko wierzących”. Wśród uczniów szkół średnich jeszcze gorzej: za wierzących uważa się 47 proc., a za głęboko wierzących jedynie 6,4 proc. Praktykujących? Już tylko 19 proc. licealistów. To nie jest dystans – to zerwanie kontaktu.

A tam, gdzie wiary nie ma, nie będzie też księży. „W ciągu dwóch dekad liczba kleryków zmniejszyła się czterokrotnie – z 6,8 tys. w 2000 r. do 1594 w 2024 r.” – raportuje KAI. Jeszcze

gorzej jest u siostr zakonnych – spadek nowicjuszek sięga 85 proc. Średni wiek? 57 lat. Nic dziwnego, że niektóre diecezje łączą seminaria.

Autorytet Kościoła zdaniem podległej episkopatowi KAI też się rozplynął. W ostatnim dziesięcioleciu pozytywne oceny jego działalności spadły z 65 proc. do 42 proc. Krytycznych jest 45 proc. A różnice polityczne są tak głębokie, że trudno jeszcze mówić o jednym Kościele.

Wnioski, które KAI podaje na koniec, są równie chłodne jak cała analiza. Sekularyzacja przyspieszyła, młodzież odeszła, autorytet zgasł. „Być może zbliżamy się do momentu krytycznego w naszej historii” – pisze bez ogródek katolicka agencja.

Kościelny przekaz dnia

Nic zatem dziwnego, że po czymś takim KAI została przez Kościół neutralizowana. A jej szefowie – Marcin Przciszewski i Tomasz Królak – podali się do dymisji i jęli biegać po mediach i opowiadać, jacy to oni biedni są. „Po 32 latach dowiedzieliśmy się, że w sumie nie jesteśmy potrzebni” – mówił Przciszewski. A Królak dodawał: „To gorzka recenzja naszej pracy”. Po czym obaj wspominali, że KAI bywała wobec biskupów lojalna aż do przesady, ale jej dziennikarze wiedzieli, że jeśli Kościół chce docierać do świata mediów, nie może odgrywać roli monarchy absolutnego. I dlatego KAI zdaniem obu panów nie była biurem prasowym episkopatu, ale agencją dziennikarską.

Tyle że w marcu episkopat przegłosował plan stworzenia konsorcjum medialnego. Ma ono połączyć KAI, biuro prasowe Konferencji Episkopatu Polski oraz serwis Opoka.pl. Nowy twór ma produkować wspólny przekaz, pod jedną kontrolą, w jednym newsroomie.



Rydzyk na Rykowisku

Zgodnie z dokumentem: „integracja struktur zarządzania i finansowania ma służyć spójności komunikacyjnej”. Czyli ma być jak w każdej szanującej się partii politycznej: zamiast wolnoamerykanki słownej obligujący wszystkich przekaz dnia.

Rzecznik episkopatu ks. Leszek Gęsiak postawił biskupom warunek: przyjmie drugą kadencję, jeśli będzie mógł przeprowadzić reformę. I przeprowadza. Bez oporu. Ale zamiast opowiadać, że „prawda was wyzwoli”, wymyślił doktrynę kościelnej propagandy w formule „zintegrowanej informacji pozytywnej”.

Zdecentralizowani

Kościół katolicki w Polsce może pochwalić się dziś rozbudowaną siecią medialną obejmującą przeróżne pola – od portali internetowych przez prasę i radio aż po telewizję i YouTube. W internecie funkcjonują dziesiątki katolickich portali: Deon.pl, Profeto.pl, Katolik.pl, Opoka.org.pl, Wiara.pl, Franciszkanie.pl. Centralnym punktem tej

infosfery jest Katolicka Agencja Informacyjna.

W sferze prasowej dominują „Nasz Dziennik” (nakład szacowany na ponad 100 tys. egzemplarzy), „Niedziela” (największy tygodnik katolicki w Europie Środkowo-Wschodniej sprzedający się ponoć w nakładzie ponad 140 tys. egzemplarzy) – oraz „Gość Niedzielny”, wydawany przez kurie katowicką i plasujący się tuż za „Polityką” pod względem popularności. W sumie prasa katolicka liczy około 2 mln egzemplarzy tygodniowo, czyli około 3 proc. całego rynku polskiej prasy.

W radiu króluje Radio Maryja należące do redemptorystów o. Tadeusza Rydzka. W 2024 r. codziennie słuchało go aż 712 tys. osób (o 101 tys. więcej niż rok wcześniej), co dało udział na poziomie 2,2 proc. słuchalności – i wartości najwyższe od 2014 r. Radio Maryja to nie tylko ogólnopolskie fale, ale i sieć parafialnych biur, które organizują msze, różańce i pielgrzymki – to nie media, to wspólnota rozproszona.

Telewizja Trwam – prowadzona przez rydzkową Fundację Lux Veritatis – dociera oficjalnie do ok. 30 proc. gospodarstw domowych, a szacuje się, że na platformach cyfrowych osiąga zasięg ponad 2 mln domostw. Media kurii i episkopatu to KAI, Opoka, „Niedziela” czy „Gość Niedzielny”.

Na YouTube obecne są wszystkie te media – TV Trwam, Radio Maryja, portale, platformy parafialne – choć brak jest danych o subskrypcjach. Jedno jest pewne: w grupie mediów zakonnych istnieje realna niezależność od episkopatu. To dlatego media te nie padły ofiarą konsorcjalnych planów, więc redemptoryści i inni robią to, co robili zawsze, ku chwale swojej i swoich kont bankowych.

Czy zatem episkopat faktycznie ma narzędzia, by upowszechnić swoją jednolitość przekazu, czy raczej skazuje siebie na medialną schizę?

Wszak za medialnym imperium Rydzka stoją tysiące ochotników, ofiarodawców, osób wspierających. Biura Radio Maryja działają lokalnie realnie – z nabożeństwami, pielgrzymkami, związkami z regionem. To więcej niż konsorcjum, to sieć ludzi. To dlatego Radio Maryja utrzymuje silny wzrost, a Trwam stabilną oglądalność.

Konsorcjum KEP będzie miało trudniej. Utrzyma kontrolę nad KAI i kurialnymi tytułami – ale nie przejmie redemptorystów, franciszkanów czy parafialnych potęg. Może nawet próbować kontrolować wydawnictwa diecezjalne, ale lokalne pasma radiowe, lokalne redakcje będą miały biskupie przekazy dnia gdzieś, bo

mnóstwo księży i osób odpowiedzialnych za te media już dziś działa w strukturach propagandowych, ale nie KEP. W zależności od preferencji lokalnych hierarchów lub księży głoszą to, co służy Konfederacji, Braunowi czy poszczególnym odłamom w PiS.

Jak to działa, można było przekonać się, widząc wyniki pierwszej tury wyborów prezydenckich.

Dlatego koncepcja episkopatu, by wreszcie mieć pod sobą całe imperium kościelnej propagandy, to utopia, na którą nie pójdą żadni duchowni kierujący poszczególnymi mediami. Bo KEP nie może im zaproponować tego, co dadzą politycy. A co, widać było po milionach złotych, które ksiądz od egzorcyzmowania salcesonem dostał od ziołbrystów. Biskupom nic już nie pomoże, bo ich Kościół jest taki, jak go odmalowała KAI. Zaden.

TADEUSZ JASIŃSKI

Podczas gdy w inni jeszcze kłócą się o wynik wyborów prezydenckich w 2025 r., prezes Ordo Iuris Jerzy Kwaśniewski z optymizmem patrzy na wybory parlamentarne w 2027 r. – i prezentuje raport „Polska. Reaktywacja”. Jak wyjaśnia na wstępie Kwaśniewski, do rebrandingu ojczyzny doprowadzić może „jedynie śmiały program reformy wolny od partyjnych interesów i odważnie sięgający po rozwiązania, które jeszcze niedawno byłyby nie do pomyślenia, a których wdrażanie obserwujemy dzisiaj w kolejnych krajach zachodniego świata”.

W odpowiedzi na kryzys narodowy lat 2023–2025 proces naprawy państwa katolicko-fundamentalistyczne korpo zamierza oprzeć na 10 filarach. Zatem można by rzec, że wszystkie są z gówna, niestety łajba pod białą-czerwoną banderą uparcie obiera kurs na prawo, zatem warto zerknąć na najciekawsze założenia.

Mniej i gorzej

„Silne państwo to pomocniczość, bo mniej znaczy więcej” – głosi punkt pierwszy, a preludeum narracji projektowanych zmian stanowi wygrana prezydenta Trumpa i zachwyt nad deregulacją administracji federalnej USA, która co prawda zdemolowała tamtejszy sektor publiczny, ale właśnie w kierunku tego Zachodu zamierza pociągnąć Polskę Ordo Iuris.

Polskim odpowiednikiem Trumpowskiego Departamentu Efektywności Rządowej (DOGE) według pomysłu Kwaśniewskiego ma zostać resort, który w polskim porządku konstytucyjnym mógłby być kierowany przez wicepremiera ds. dobrej administracji.

Radę Ministrów w prawicowej wizji czeka solidna gilotyna: z 27 głów zostanie tylko dziewięć. Ale za to patriotycznych i suwerennościowych. W skład okrojonego rządu poza premierem będą wchodzić ministrowie: obrony narodowej, spraw zagranicznych, sprawiedliwości, finansów, inwestycji strategicznych, zdrowia, policji (sic!) oraz solidarności społecznej. Obawy o spowolnienie procesów decyzyjnych czy likwidację dialogu społecznego i ogólny chaos,

Ordo Iuris Trumpis

Make Poland Great Again

wedle zapewnień prezesa Ordo Iuris, mają być bezzasadne.

„Dla tak odchudzonej administracji publicznej (...) trzeba będzie zawczasu przygotować kadry. To zadanie realizujemy od lat, ale teraz należy wzmoć wysiłki w tym kierunku” – odgraża się Kwaśniewski, a trzeba przyznać, że ma czym. O ile można drzeć łacha, że na „elitarną”, założoną przez środowiska Ordo Iuris uczelni Collegium Internarium w roku akademickim 2023/2024 znalazł się jeden chętny na studia prawnicze, o tyle uczelnia ojca Tadeusza Rydzka, której prelegentem nadzwyczaj często jest prezes OI, rok w rok wypuszcza rzesze absolwentów gotowych świadczyć usługi w wielu sektorach państwa.

Dla uspokojenia nastrojów społecznych Kwaśniewski podkreśla, że selekcja pól działalności państwa przeznaczonych do głębokiej deregulacji będzie stała na fundamencie społecznego nauczania Kościoła. Nie będzie zatem oznaczać „bezzasadnego wprowadzania odpłatności wszystkich świadczeń oraz usług istotnych dla dobra wspólnego”, tylko płatność częściową celem zatrzymania „nieefektywnego zaangażowania środków publicznych, nieustannego eskalowania nakładów i niekończącej się spirali wydatków”. Jak to będzie wyglądać? Też po amerykańsku.

Krzyżem po łapach

Kwaśniewski uważa, że publiczne finansowanie ochrony zdrowia, edukacji, a – w pewnym sensie – nawet kultury narodowej powinno być połączone z mechanizmem rynkowym. Instrumentami służącymi takiemu połączeniu mają być bon edukacyjny, właściwie wycenione ko-

szki świadczeń medycznych czy strategiczny wybór wąskiego zakresu instytucji kultury finansowanych wyłącznie w celu zachowania narodowego dziedzictwa, pamięci historycznej i chrześcijańskiej tożsamości.

Jeśli ktoś nie zauważył, w Radzie Ministrów wyobrażonej przez Ordo Iuris brakuje ministra nauki i szkolnictwa wyższego. To nie przypadek. W nowej rzeczywistości pełnię odpowiedzialności za organizację szkoły – w tym za program, kadre i metodologię pracy – przejmą wspólnoty rodziców, nauczycieli oraz samorząd lokalny.

Pomysł bonu edukacyjnego od lat jest walczony przez środowisko Konfederacji. To

ORDO IURIS?
NIE ZNAM KAPELI,
ALE PODOBNO
OSTRO SIĘ BAWIĄ.



Leon XIV udaje się na zasłużony odpoczynek – wprawdzie nie wieczny, lecz w okolicy Wiecznego Miasta. Mimo że od wyboru Roberta Prevosta minęło niewiele ponad dwa miesiące, umęczony odpowiedzialnością za Kościół kat. idzie on na urlop. Dostęp do największych tajemnic i palących spraw dotyczących kleru każdego przyprawiłby o zawrót głowy i doprowadził do skrajnego wyczerpania – a po drugie, szkoda letnich miesięcy na głupoty. Zrywając z tradycją poprzednika, Bob z Chicago wrócił do letniej rezydencji w Castel Gandolfo, którą Franciszek przerobił na muzeum. Przy okazji Leon XIV potwierdził słuszność dogmatu o nieomyślności papieża, bo nie myli się przecież ten, kto nic nie robi.

Książkowa postać

Nie odpoczywają natomiast ci, którzy chcą spieniężyć nowy pontyfikat. Na polskim rynku pojawiły się już dwie książki o świeżo wybranym papieżu. Leon nie ułatwia zadania: o ile jego poprzednicy, zanim objęli najwyższe stanowisko w firmie, mieli już pokaźny dorobek w postaci książek, wywiadów czy innych propagandowo atrakcyjnych osiągnięć, o tyle Prevost dotychczas dość skąpo szafował przemysleniami, a dla mediów był niemalże anonimowy. Szczątki wypowiedzi pojawiały się tu i ówdzie, ale jego poglądy właściwie wciąż pozostają zagadką. I może o to chodziło – po wyrazistych papieżach z jasno określonym zdaniem na każdy temat przyszedł czas na takiego, który zaświeci i Bogu świeczkę, i diabłu ogarek. Kościół jest podzielony w nie mniejszym stopniu niż Polska czy inne państwa – ot, czasy polaryzacji. Żeby więc nie doprowadzić do kolejnej schizmy, potrzeba człowieka, który pogodzi ogień z wodą – kameleona, który każdemu powie to, co rozmówca zechce usłyszeć.

Naprawdę skłone biografie Roberta Prevosta są więc kompilacjami zdjęć, anegdot i cytatów z początku pontyfikatu, ale katolicki czytelnik nie jest zbyt wymagający, więc i takie pozycje zaspokoją jego głód.

Swoją drogą Leon XIV nie stał się jakąś wielką gwiazdą w naszym kraju. W smutnej jak pizda Polsce uśmiechnięty papież nie jest artykułem pierwszej potrzeby. Poza tym nie mówi nic o Tusku ani Kaczyńskim, zatem nie spełnia podstawowego kryterium pożeraczy medialnej papki. Gdyby chociaż cytował Jana Pawła II, lecz i tu zawodzi. Popularny jest za to w krajach hiszpańskojęzycznych i USA. W ich mediach społecznościowych następcą Franciszka święci triumfy i doznaje masowego uwielbienia, przyjmowany jest entuzjastycznie i ze swoim pocieszającym stylem bycia stał się influencerem na miarę największych gwiazd internetu. Jego Instagram obserwuje ponad 14 mln osób – za takie zasięgi każda korporacja rada by płacić krocie. Jako szef jednej z największych światowych korporacji –



Ilustracja: KRYSZTOF OLEJNIK

Kameleon

Papież na baterie słoneczne

w końcu Amerykanin z urodzenia – Leon robi wiele, żeby tę popularność podtrzymać. Ewentualnie zdaje sobie sprawę z siły rażenia socjali, bo z gracją wykonuje gesty i rzuca sentencje, które nadają się na rolkę (krótki filmik) na Instagrama, Facebooka czy TikToka. Miarą popularności Boba niech będzie fakt, że – jak ogłosiła włoska poczta – dostaje on 100 kg tradycyjnych listów dziennie. Autor każdego z nich liczy zapewne, że ojciec święty z uwagą się pochyli nad jego wyrzuceniami i osobiście odpisze. Ale papa Leone idzie na urlop i będzie czytał co najwyżej kryminały oraz grał w tenisa.

Ekoludek

W ogóle to nie wiadomo, czy Leon XIV jest zadowolony z tego, że fani ślą do niego tyle listów papierowych. To mało ekologiczna forma komunikacji: trzeba wyciąć drzewo, potem dostarczyć, a to przecież ślad węglowy itd. Amery-

kanin w białej sutannie okazał się bowiem – ku rozczarowaniu kościelnej prawicy – kontynuatorem linii ekologicznej papieża Franciszka. We wspomnianym Castel Gandolfo funkcjonuje farma ekologiczna i tamże Leon odprawił mszę „w intencji opieki nad Stworzeniem”, podczas której apelował i modlił się o nawrócenie tych, którzy chcieliby nadal palić oponami w piecu.

Nie wiadomo, jak pisowcy przetwarzają papieskie kazanie, w którym mówił, że „świat płonie zarówno z powodu globalnego ocieplenia, jak i konfliktów zbrojnych”. W kampanii prezydenckiej jednym z największych zarzutów wobec Trzaskowskiego było jego proekologiczne nastawienie; do porzygu katowano jego bon motem że „planeta płonie”, co miało być dowodem, na totalne zidiocenie „tęczowego Rafała”. A tu kolejny papież wbija nóż w plecy naszym konserwom. Co polska prawica na to? Nic, lepiej przemilczeć – są ważniejsze sprawy na głowie, jak pilnowanie granic.

Jeśli dodać do tego, że na papieskiej ziemi pod Rzymem ma powstać ogromna (ponad 400 ha) farma fotowoltaiczna – co zainicjował Franciszek, a Leon podtrzymał – to dopełnia obrazu papieża jako instytucji zainfekowanej lewackim szaleństwem. Ziemkiewicz może znowu napisać: „Papież to idiota. Straszne”,

jak to już uczynił za poprzedniego pontyfikatu. Tradycja niesłuchania papieża, gdy nie mówią akurata o wielkiej Polsce – ojczyźnie jeszcze większego JP2 – jest wśród krajowych katolików bardzo długa i bogata.

Wsiadajcie, madonny

Polscy papieści chwytają się brzytwę, żeby nie zozydzić sobie nowego papieża. Ochłapem z papieskiego stołu jest dalsze trzymanie Jędraszewskiego na stołku metropolity krakowskiego oraz podtrzymanie jego decyzji o usunięciu z funkcji proboszcza Bazyliki Mariackiej ks. Dariusza Rasia, prywatnie brata Ireneusza, posła wybranego z list Trzeciej Drogi. Oficjalnie konflikt trwa od roku, kiedy to Jędraszewski wezwał Rasia do opuszczenia jednej z najbogatszych parafii w Polsce, a ten się odwołał do Watykanu. Centrala za Franciszka poparła Rasia, a gdy nastął Leon, przyznano rację abepę Jędraszewskiemu. Metropolita dopiął swego i tłustą parafię objął ks. Mariusz Słonina. Raś nie składa jednak broni i zapowiada, że znowu się będzie odwoływał. Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, Trzecia Droga także.

Z zasługujących na wyróżnienie wieści o nowym papieżu należy wspomnieć także, że jest on dalekim krewnym Madonny. Prawie każdy szef Kościoła przyznawał się do relacji z Madonną, ale Leon XIV jako jedyny może je udowodnić.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

szkoły w USA odeszły od misji zapewniania rzetelnej edukacji i wpajania „patriotycznego podziwu” dla narodu amerykańskiego oraz jego wartości. Zamiast tego szkoły promują „radikalne antyamerykańskie ideologie” – a konkretnie ideologię gender – i „dyskryminującą ideologię równościową”.

Rozporządzenie ma eliminować państwowe finansowanie dla placówek, które swoją działalnością podpadną pod ideologiczne paragrafy. Przekalkowanie tych rozwiązań pod wodzą pravicowych ekstremistów będzie łatwe jak chłapanie setki wódki przed śniadaniem.

Wolność bezprawia

Za fundamentalne interesy narodowe w nowej Polsce uchodzić powinny: biologiczny byt narodu, pokój zewnętrzny i wewnętrzny państwa, rozwój gospodarczy; a także cywilizacyjny, moralny i kulturowy rozkwit. Kwaśniewski zapowiada, że stanowcza polityka rządu i państwa będzie skupiona na wąskim katalogu praw podstawowych. Jakich? Ochrony życia, wolności sumienia, autonomii rodziny i (he, he) wolności słowa. „Dalsze generacje praw, o stosunkowo niższej wadze, podlegać mogą ochronie norm prawa karnego, ale przede wszystkim ochrona może być dochodzona z inicjatywy stron w ramach procesu cywilnego”. Logika wskazuje, że jak prawnicy Ordo Iuris przeleca szmatą deregulacji przez Kodeks karny, zeszczupleje on jeszcze bardziej niż administracja rządowa. Podobnie jak pozostałe akty prawne czy ustawy.

Według Kwaśniewskiego „ochrona wolności wymaga wcześniejszego zaakceptowania, że wiąże się ona z ryzykiem”. Bezpieczeństwo bowiem, ten mityczny wentyl ładu, jest motorem drugiego z procesów zniewolenia. „To nieustannie pona-

wiający się scenariusz emocjonalnego szantażu, następującego po niemal każdym incydencie patologii, którego ofiarą pada dziecko, ale także po każdej katastrofie naturalnej lub bolesnej stracie inwestorów. Natychmiast stajemy się wówczas świadkami politycznego wyścigu aktywności i obietnic ustawowego zaradzenia powtórzenia się podobnego ryzyka w przyszłości” – pisze prezes OI. Jak wiadomo, według konserw beneficjentem tych działań zawsze zostaje biurokracja, a ofiarą pada kolejny odcinek wolności.

Prawicowy idol zza oceanu też rozluźnił regulacje. Na przykład zmniejszył nadzór rządowej agencji OSHA nad bezpieczeństwem pracy, co może sprowadziło pracowników do roli mięsa produkcyjnego, ale za to obniżyło koszty firm. Uwalono przepisy dotyczące ochrony studentów przed oszustwami prywatnych instytucji edukacyjnych oraz złagodzone wymogi dotyczące przeciwdziałania przemocy seksualnej na kampusach. Na początku 2025 r. zwolniono ok. 300 pracowników Federalnej Administracji Lotnictwa, w tym kontrolerów ruchu lotniczego i specjalistów ds. bezpieczeństwa, co zaowocowało serią katastrof lotniczych. Administracja Trumpe cofnęła lub osłabiła ponad 100 regulacji środowiskowych, w tym Clean Power Plan, który ograniczał emisję gazów cieplarnianych z elektrowni węglowych oraz normy emisyjne dla pojazdów. Zresztą, długo by wymieniać. Przywrócono za to plastikowe słomki. Jak widać, wolność ma różne oblicza i priorytety.

Bajania Kwaśniewskiego można by mieć w dupie, problem w tym, że polski obóz liberalny woli się narkotyzować teoriami spiskowymi i foliarską awanturą o wybory, zamiast wziąć dupę w troki i spróbować przepchnąć bodaj kilka z malowanych prąciem na wodzie „100 konkretów”. Polactwo wraz z premierem patrzy w niebo, ciesząc się, że gdzieś tam wysoko lata polski kosmonauta. Tymczasem prawicowi zamordyscy powolutku, acz sukcesywnie zwierają szyki do meblowania absurdami polskiego krajobrazu. Co z tego wyniknie, przekonamy się prędzej niż później.

IDALIA DUBICKA

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Stworzona przez hongkońskiego artystę Kasinga Lunga bijąca rekordy popularności seria kolekcjonerskich zabawkowych figurek Labubu zwróciła uwagę żołnierzy Chrystusa. Z przedstawionej analizy dowiadujemy się, że L.A.B.U.B.U. to skrót od Luciferian Artifact Built Using Babylonian Understanding, czyli zgodnie z tłumaczeniem autora „Artefakt Lucyferyczny Zbudowany na Babilońskim Poznaniu”. Ponadto inspiracją do powstania zabawki miała być „zakazana ikona” z Ukrainy, przedstawiająca rzekomo diabła w postaci „śmiejącego się zwierzęcia”. To z kolei ma mieć powiązanie z Belfegorem, jednym z siedmiu ksiąg piekła według demonologii chrześcijańskiej. Nie wiemy, co biorą żołnierze Chrystusa, ale powinni zmniejszyć dawkę.

✦ Sławomir A., były polski ksiądz poszukiwany za przestępstwa seksualne wobec nieletnich, został zatrzymany na Wyspie Man. Klecha molestant pracował jako wikariusz w różnych parafiach, m.in. w Łosicach i katedrze w Siedlcach, a także prowadził zajęcia muzyczne dla młodzieży w ramach Katolickiego Stowarzyszenia Diecezji Drohiczyńskiej. W 2022 r. Prokuratura Okręgowa w Siedlcach wszczęła przeciwko niemu śledztwo w związku z zarzutami molestowania seksualnego pięciu nieletnich dziewcząt. W wyniku postępowania wyszło na jaw, że podobnych czynów dopuszczał się już 20 lat wcześniej. Po wezwaniu przez prokuraturę ulotnił się z Polski. Ekskieszulo został zatrzymany na podstawie europejskiego nakazu aresztowania. Łącznie oskarżony jest o 25 przestępstw seksualnych. Grozi mu ekstradycja na łono ojczyzny.

✦ Seksualny skandal w Wielkopolsce. Wysoko postawiony w kurii poznańskiej ksiądz miał w jednym z komunikatorów zadać mężczyźnie pytanie, czy lubi pozycję 69. Poza niemoralnymi propozycjami składanymi młodym mężczyznom związanym z Ko-



ściołem duchowny obiecywał, że po wspólnym picu wódki może wstawić się za chętnymi u biskupa, dzięki czemu możliwe będzie np. wystąpienie na studia czy zostanie proboszczem. Duchowny stanowczo zaprzeczył doniesieniom medialnym i oświadczył, że pytanie o pozycję seksualną nie było jego autorstwa, a kogoś, kto włamał się na jego konto internetowe – nie pierwszy zresztą raz. Finalnie kilka dni po ujawnieniu afery klecha podał się do dymisji, a metropolita poznański wszczął procedurę kanoniczną w celu wyjaśnienia wszelkich wątpliwości w tej sprawie.

✦ Pod Sanktuarium Matki Bożej Bieszczadzkiej w Ustrzykach Dolnych stanął sześcioletni chłopiec św. Michała Archanioła. Sakralny artefakt pojawił się w odpowiedzi na rzeźbę Biesa, złośliwego demona leśnego z popularnej legendy, która wita osoby wjeżdżające do miasta od strony Leska. Figura Michała Archanioła powstała z inicjatywy byłego wojewody przemyskiego i opolskiego Adama Pęziola. Jak wyjaśnił polityk, rzeźba ma pomóc w odkupieniu grzechów lokalnej społeczności. Podczas uroczystości odsłonięcia figury wodzowi aniołów zawierzono całe Bieszczady i wszystkich ich mieszkańców. Nareszcie jakaś sensowna inwestycja w obronność.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

„Rządzą nami ludzie, którzy samych siebie określają jako Niemców”. I git.



Danke schön, niemiecki podatniku!

Ostatnio Niemcy nie mają w Polsce dobrej prasy. „Nie będzie Niemiec Polakowi bratem” – nauczał na pielgrzymce Radia Maryja biskup o swojsko brzmiącym nazwisku Mering. „Herr Tusk” – choć gramatycznie poprawny – wpadł w obieg jako epitet, jakby sama niemieckość była już zniewagą. A przecież może czas spojrzeć na nasze relacje z Niemcami z nieco innej perspektywy. Nie przez lunetę z Westerplatte, ale przez różowe okulary. Tak, drodzy rodacy. Niemcy nas kochają.

Miłość na zabój i aż po grób

I to nie tak zwyczajnie. To miłość głęboka, trudna, zaborcza. Miłość historyczna. Taka, co chwytą za gardło i za granicę. Przypomnijcie sobie tych nielegalnych emigrantów, co to w roku pamiętnym przebiegali się w harcerskie mundury, śpiewali marsze i chwycili za broń, żeby tu zamieszkać. Nie w Szwajcarii. Nie na Majorce, ale właśnie w Polsce. Chcieli nas uszczęśliwić swoją kulturą, techniką, zamiłowaniem do porządku, przepisów i golonki. To miłość – intensywna, brutalna, ale miłość. Jak z „50 twarzy Grety”.

Może w ogóle powinniśmy przeddefiniować ten cały „Drang nach Osten” – nie jako akt pogardy wobec Wschodu, ale jako wyraz niemieckiego uczucia. Może ich pociąga nasz chaos, nasza spontaniczność, nasze rondo w każdym miasteczku?

Z naszej strony to wygląda dziwnie – trudno sobie wyobrazić, że z miłości do Albanii chwycilibyśmy za KBKS-y. Że rozkochani w Tiranie, ruszylibyśmy pieszo przez Karpaty z naręczem ulotek i moździerzem. Ale Niemcy myślą po niemiecku. *Ich liebe dich* – is libe diś – w naszych uszach brzmi jak syczenie grzechotnika w kaloryferze. Ale po niemiecku oznacza coś wzniosłego: „Ja kocham ciebie”.

Polska w ramionach Niemiec

Jasno widać, że na przestrzeni ostatnich 80 lat forma niemieckiej miłości do nas, Słowian, uległa radykalnej przemianie. Ekspresja tego uczucia kiedyś miała charakter dość bezpośredni: kolumna pancerna, pieśń na ustach, rozkaz w rękę. Dziś – znacznie subtelniejszy. Logika być może pozostała ta sama: wejść, ułożyć, zorganizować, scalić. Ale środki – kompletnie inne.

Nie ma już stukotu butów na bruku, jest kliknięcie „zatwierdź wniosek” w generatorze wniosków funduszy strukturalnych. Nie ma już zasiedlania przez deportację – jest „mobilność zawodowa w ramach rynku wewnętrznego”. Nie ma już „Ostfront” – jest „Ostförderung”, czyli polityka spójności dla wschodnich rubieży wspólnoty.

Nasze przystąpienie do Unii Europejskiej w 2004 r. było wydarzeniem egzystencjalnym. Quasi-mażeństwo. Polska, niezbyt posażna panna znad Wisły – o wątpliwym bilansie, skromnym majątku i niepewnej historii kredytowej – została przyjęta z otwartymi ramionami przez eleganckiego pana z Hamburga, właściciela kilku zakładów, płynności finansowej i Volkswagena w leasingu. Nie była to relacja romantyczna. Raczej pragmatyczna. Ale jednak to on płacił za wesele. Panna młoda nie wniosła posagu, ale za to ogromną determinację, zapał i trudną do sklasyfikowania strukturę administracyjną. A pan młody, wiadomo, pieniądże, know-how, dostęp do katalogu IKEA.

Ile kosztuje unijna miłość?

Zajrzyjmy na chwilę do portfela tego małżeństwa. Otóż przez ostatnie 20 lat wspólnego pożycia panna znad Wisły wyjmowała z niego średnio około 212 euro rocznie na głowę obywatela,

a pan z Hamburga regularnie dokładał po 241 euro od głowy statystycznego Niemca.

Używam tu oczywiście pewnego uproszczenia, bo wiemy dobrze, że te pieniądze przechodziły przez magiczne ręce Brukseli, gdzie Komisja Europejska wciela się w rolę rodzinnego bankiera.

Łączne dotacje, które Polska otrzymała od 2004 r., wynoszą ok. 161 mld euro (czyli blisko 750 mld zł). Tymczasem sama niemiecka składka netto do budżetu Unii w ciągu dwóch dekad to grubo ponad 300 mld. Ujmując brutalnie: to Niemcy sfinansowali w całości nie tylko polską transformację, ale też połowę Rumunii i ze dwa województwa w Hiszpanii. Polska wpłacała mniej więcej tyle, ile wynosi roczna suma mandatów z fortoradarów. To jak wspólne konto, na które jedna strona przelewa pensję, a druga robi zakupy na raty.

Dotacyjny kran wysycha?

O, Allachu, powiedz, kiedy skończy się nam historyczny kredyt – choć wolelibyśmy nie wiedzieć, bo traktujemy niemiecką forszę jak pogodę: po prostu jest. Mechanizm tej miłości pieniężnej jest dość prosty. Nazywa się go oficjalnie: „Polityka spójności i wyrównywania szans”. Ci, którzy mają wyższe PKB per capita niż średnia UE (Niemcy – 115 proc.), dopłacają tym, którzy mają niższe (Polska – około 85 proc.)

Ale – jak w każdej baśni o magicznym źródle – i tu istnieje ryzyko, że strumień pieniędzy wyschnie.

Powody:

1. Horyzont polityczny – czyli „macie reformować, a nie tylko fakturować”.

Komisja Europejska coraz częściej mówi wprost: nie wystarczy być biednym. Trzeba jeszcze być przewidywalnym. Dotacje są coraz mocniej związane z praworządnością, reformą sądów, zieloną transformacją, cyfryzacją, granicą

bezpieczną, ale nie za bardzo drutowaną. Czyli: jeśli ktoś w Unii zaczyna grać solo, bez partytury z Brukseli – to Bruksela wyłącza wzmacniacz i związa kabel od dotacji. Tak było z Węgrami. Tak prawie było z Polską. Kto wie – może kolejny rząd zapowie wyjście ze wspólnej polityki klimatycznej, a wtedy kurek z Funduszu Spójności lekko skreśli się „z powodów proceduralnych”.

2. Horyzont ekonomiczny – czyli „kończą się Niemcy”.

Bogaci sponsorzy też mają swoje granice cierpliwości i bilansu budżetowego. Niemcy już teraz mają deficyt. W 2024 r. w Brukseli pierwszy raz oficjalnie padło pytanie: Czy fundusze spójności w tej formie mają jeszcze sens? Jeśli niemiecki podatnik uzna, że nie chce już sponsorować murala z bocianem i cytatem z Norwida na elewacji szkoły w gminie Szczekociny, to politycy pójdą za nim i zmniejszą składki, zmienią zasady albo ograniczą beneficjentów do „państw, które się zachowują”.

3. Horyzont strukturalny – czyli „już nie jesteście tacy biedni”.

To najciekawsze – bo niekontrowersyjne. Po prostu Polska rośnie.

I jeśli nasz PKB per capita przekroczy 90 proc., potem 95 proc., a wreszcie 100 proc. średniej UE (a idziemy w tym kierunku), to w świetle traktatów przestaniemy być kwalifikowani do dużej części dotacji. Nie dlatego, że ktoś nas nie lubi. Dlatego, że staliśmy się zbyt bogaci jak na biedaka. To jakby dziecko wciąż chciało dostawać kieszonkowe, choć już zarabia więcej niż rodzice.

Czy Polska udźwignie ciężar bogactwa?

Ale to nie jest jeszcze to najgorsze, co chciałem wam powiedzieć. Może przyjdzie dzień, w którym Polska stanie się pełnoprawnym Europejczykiem. Takim naprawdę. Nie tylko w teorii, nie tylko w przemówieniu premiera, ale w sensie brutalnym, podatkowym. Równym wśród równych. Nie peryferie. Nie beneficjent. Sponsor. Bo na tym najszcześniejszym kontynencie na ziemi, jak się już dorobisz, siadasz po drugiej stronie stołu. I zaczynasz dopłacać.

Wyobrażam to sobie tak: inspektor Krajowej Administracji Skarbowej, w pełnym galowym mundurze, z miną ponurego faryzeusza, właśnie wysłał komornika, by odzyskać 100 zł zaległego PIT-u od rencistki, która pomyliła się w formularzu. I teraz, z wypiekami na twarzy, przelewa te ciężko wyszarpane złotówki do Brukseli. Nie na most w Radomiu. Nie na szkolenie z bioróżnorodności dla sołtysów. To będzie moment,

w którym mit „Unia nam daje” zamieni się w brutalną rzeczywistość. Z punktu widzenia naszej narodowej mentalności – szok egzystencjalny.

Remiza za euro, wdzięczność za darmo

Dlatego z pewną zazdrością – taką cichą, nieśmiałą, narodowo skrzywioną – powinniśmy spojrzeć na tych wszystkich niemieckich podatników, którzy szok samopoświęcenia mają już dawno za sobą. Proszę spojrzeć na tych protestantów, genetycznie umiarkowanych, księgowo ukształtowanych, emocjonalnie przezroczytych. Dają tak, aby lewa ręka nie wiedziała, co robi prawa. Bez narzekania. Bez biadolenia. Bez żądania wdzięczności, pomników czy medali.

Patrzą na nasze sukcesy pokryte w 80 proc. z ich podatków. Na te zielone dachy na remizie w gminie Lipniak. Na ścieżki sensoryczne dla jeży, bo jeź też ma prawo do doznań. Na mural 3D z husarią na stacji transformatorowej, bo przecież niepodległość energetyczna zaczyna się od tożsamości.

Nie dzwonią do europosłów. Nie organizują marszów pod hasłem „Kein Cent mehr für Polen!”. To jest prawdziwy humanizm. Nie ten deklaracyjny, z akademickich esejów i debat filozoficznych. Tylko codzienny, pokorny, fiskalny. To jest człowieczeństwo rozliczalne, z PIT-em i przelewem. To jest, proszę Państwa, miłość. Może nie romantyczna, może nie poetycka – ale stała, zrównoważona, zgodna z dyrektywami i zatwierdzona przez Komisję.

Dlatego przestańmy płuć szkopom pod drzwi. Pójdę nawet dalej – pozwolę sobie zredagować tekst, który mógłby być wygłoszony na uroczystej sesji sejmu, odczytany przez prezydenta RP lub wydrukowany jako pełnostroncowy list w „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Szanowny Podatniku Niemiecki,
Drogi Panie Müller, Meier, Schulz!

W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej – krajów o nietrwałej historii i jeszcze trudniejszej geodezji – chcielibyśmy serdecznie podziękować.

Dziękujemy za 161 miliardów euro, które Pański kraj – poprzez strukturę Unii Europejskiej – przekazał Polsce od roku 2004. Dzięki Pana pieniądżom wybudowaliśmy drogi, których nie było, zmodernizowaliśmy tory, które nie działały, i postawiliśmy fontanny, których nikt nie potrzebował – ale za to pięknie świecą wieczorami.

Dziękujemy za to, że nasz samorząd w gminie Kopytkowo Dolne mógł zbudować skatepark i przystanek solaro-multimedialny z audiobookami Reymonta oraz funkcją ładowania hulajnogi patriotycznej.

Dziękujemy, że nie zadawał Pan zbyt wiele pytań. Że nie drążył Pan, dłaczego mural z husarią na transformatorze kosztował 73 tysiące euro, ani czemu szkolenie z „zielonego liderstwa w gospodarstwach rolnych” odbyło się w hotelu z jacuzzi i salą warsztatową feng shui.

Dziękujemy, że nawet gdy narzekaliśmy na „brukselską okupację” i głosowaliśmy przeciwko Zielonemu Ładowi, Pan – jak na Niemca przystało – grzecznie płacił składkę. Bez krzyku. Bez demonstracji. Bez krzyża na piersi i transparentu „Meine Steuern – meine Meinung”.

I obiecujemy: gdy znów dostaniemy nową pulę środków na lata 2028–2034, wykorzystamy ją jeszcze lepiej. Może na obronność. Może na mural 4D. Może na zadaszoną altanę w kształcie kłosa, która będzie jednocześnie stacją ładowania, punktem dialogu międzypokoleniowego i miejskim ułem.

Bo Unia to nie tylko rynek. To relacja. My budujemy relacje. Pan – funduje.

Z wyrazami szacunku,
Polski Naród
Wdzięczny Beneficjent
Głos Suwerenności

ROBERT JARUGA

Ręce precz od Niny Patalon!

Dzięki Idze i piłkarkom przeżyliśmy piękny sportowy dzień

Iga Świątek wygrała finał Wimbledonu w stylu niewidzianym od 114 lat. Pokonała Amerykankę rosyjskiego pochodzenia Amandę Anisimową bez straty gema w niespełną godzinę. Stała się pierwszą polską zwyciężczynią najstarszego i najbardziej prestiżowego tenisowego turnieju.

O meczu Świątek-Anisimowa wypowiedziały się tysiące tenisowych fachowców i niefachowców. Trudno cokolwiek dodać, prócz słów podziwu dla Polki i wsparcia dla Amerykanki. Wydaje mi się, że tym finałem Iga Świątek już zapewniła sobie tytuł najlepszego sportowca roku 2025.

Z Danią w Szwajcarii

Tego samego dnia, w którym Świątek dokonała niesamowitego wyczynu w Anglii, w Szwajcarii polskie piłkarki rozegrały swój ostatni mecz mistrzostw Europy z reprezentacją Danii. Ostatni, bo wcześniej przegrały grupowe spotkania z Niemkami i Szwedkami, więc szans wyjścia z grupy eliminacyjnej już nie miały. Nie był to jednak – jak zwykło się u nas mówić – mecz o honor, bo honoru Polkom nie brakowało we wcześniejszych przegranych spotkaniach.

Założenie przed meczem było jasne: zagrać ładną piłkę, strzelić pierwszą bramkę w historii udziału w wielkiej imprezie i zdobyć choć jeden punkcik, żeby nie kończyć imprezy z zerowym dorobkiem w tabeli. Drużyna prowadzona przez selekcjonerkę Ninę Patalon spełniła oczekiwania z nawiązką. Zagrała bardzo ładny mecz, nawet gdy w końcówce brakowało dziewczynom sił, nadrobiła ambicję, strzeliły nie jedną, a trzy bramki, zdobyły nie jeden, a trzy punkty i zajęły trzecie miejsce w grupie eliminacyjnej. Debiutantki wyprzedziły Dunki, które w Euro występują nieprzerwanie od 1984 r. Jak na pierwszy występ polskiej reprezentacji w ważnej imprezie naprawdę możemy mówić o sukcesie.

Kobiecomu futbolowi wciąż w naszym kraju daleko do poziomu europejskiego i światowego. Dziś żeńska piłka robi na świecie furorę. Kibice zapelniają nawet duże stadiony. Do gry weszły największe i najbogatsze kluby. To w pełni zawodowy sport. Nasze kluby wolą wydawać pieniądze na trzecio- czy czwartoligowych zagranicznych piłkarzy, którzy nie zawsze potrafią celnie podać piłkę, a jeśli już, czynią to w poprzek boiska lub do tyłu. Dziewczynom wszędzie płaci się mniej niż ich kolegom – ale u nas często są to jakieś symboliczne grosze, które nie pozwalają im całkowicie skupić się na zawodzie piłkarki.

W Stanach Zjednoczonych zrównano premie piłkarzy i piłkarki, ale to nic dziwnego – kobieca reprezentacja odnosi wiele więcej sukcesów niż męska i więcej przynosi federacji pieniędzy. Oczywiście dotyczy to tylko zespołu narodowego, bo kluby rządzą się swoimi prawami.

10 razy tańsze

Zarobków mężczyzn i kobiet w futbolu nie da się w ogóle porównywać, same panie zresztą tego nie chcą. Na naszym podwórku ekstraklasowa piłkarka może liczyć na 5 tys. zł miesięcznej pensji, piłkarz Ekstraklasy na 30–50 tys. zł. W Europie zawodniczka może zarobić więcej niż w naszym kraju, ale i tak jej zarobki daleko odbiegają od ich kolegów.

Hiszpańska pomocniczka FC Barcelony Aitana Bonmati, dwukrotna laureatka Złotej Piłki, jest najlepiej zarabiającą piłkarką na świecie. Za sezon wpływa na jej konto 950 tys. euro. Jej kolega z klubu, Robert Lewandowski, za grę w sezonie dostaje ok. 2 mln euro. Oczywiście to samo dotyczy transferów. Bonmati jest najwyżej wycenianą piłkarką – 800 tys. euro to rekordowa kwota. O tym, ile kluby są gotowe płacić za zawodników, nawet nie ma co wspominać, sumy powyżej 100 mln euro nie budzą już sensacji.

Rok temu napisałem na tej stronie: „Myślę, że ja już nie dożyję potęgi polskiej żeńskiej piłki (obawiam się, że męskiej także)”. O potęgę rzeczywistości raczej muszę zapomnieć. W Szwajcarii Polska przegrała z Niemkami, ale po meczu zebrała sporo braw za ambicję, realizowanie założeń taktycznych, solidną obronę. Ze Szwecją było trochę gorzej, ale



ILLUSTRACJA: PAMEL FERENC

okazało się, że Szwedki wygrały później z Niemkami. Trzeba pamiętać, że kobieca reprezentacja Niemiec to ośmiokrotna mistrzyni Europy, a Szwedki to multimedalistki Euro, mistrzostw świata i igrzysk olimpijskich. Awans reprezentacji Polski na szwajcarskie Euro był pierwszym i jedynym osiągnięciem w historii.

Z troski o kolana?

Dlaczego z naszą piłką było dotychczas tak słabo? Niezbędny jest historyczny wstęp. Futbol w żeńskim wydaniu w PRL, podobnie jak w całym tzw. bloku wschodnim, uznawany był za kapitalistyczną fanaberię. Mało kto zwrócił uwagę, że Polska awansowała na Euro jako jedyna drużyna z dawnej żelaznej kurtyny. Czechki, Słowaczki, Węgierki czy Bułgarki muszą jeszcze zaczekać, choć na pewno w tych krajach dziewczyny już także kopią piłkę.

Przeciwnicy żeńskiego futbolu mają jeden argument. Chodzi o anatomiczną budowę. Faktem jest, że dziewczęta łatwo ulegają urazom, zwłaszcza zerwaniu więzadła krzyżowego. Kontuzje to plaga wielu drużyn. Przy obecnym stanie medycyny sportowej lekarze i fizjoterapeuci dość sprawnie sobie jednak z tym radzą. Piłkarze także sporo czasu spędzają w przychodniach lekarskich, choć u nich wynika to bardziej z brutalnej gry niż z budowy anatomicznej. Panie szanują swoje kości.

Zresztą o czym mówimy, skoro kobiety wkroczyły już niemal do wszystkich dyscyplin sportu dotychczas uznawanych za niemal wyłącznie męskie?

Julia Szeremeta, która zdobyła srebrny medal w boksie olimpijskim, stała się nieomal celebrytką. Boks olimpijski to łagodna forma tej dyscypliny. Nasza Julka zakończyła turniej z tylko troszecz-



kę podbitym okiem. Ale panie wchodzą też do ringu zawodowego, gdzie rękawice są twardsze, a ciosy mocniejsze. Kobiety walczą w klatce MMA, również w okrągłym ringu, gdzie ciosy zadaje się gołymi pięściami, twarze są poorane rozcięciami, a spod opuchniętych powiek nie widać świata. No, ale to nie moja bajka, choć nie mam poglądów PiS ani Konfederacji, które jeśli chodzi o obyczajową sferę życia, tkwią jeszcze w XIX w.

Kobiety skaczą na nartach, a nasze władze sportowe są krytykowane za przywiązywanie zbyt małej uwagi do tej dyscypliny, w której zdobywać można przecież olimpijskie medale. Prezes Adam Małysz obiecał, że poprawi sytuację skoczek (czy to poprawny feminatyw od słowa skoczek?), ale jakoś tego nie widać.

Właściwie to nie ma już chyba dyscypliny uważanej kiedyś za wyłącznie męską, w której kobiety nie próbowałyby sił. Nawet w wyścigach na żużlu czasem pojawiały się nieustraszone rajderki. I choć rzadko dojeżdżały do czwartego okrążenia, a chyba tylko raz widziałem, jak żużlowczyni (znów pytanie o poprawność feminatywu) zdobyła punkt za trzecie miejsce na mecie – bo jeden z rywali się przewrócił – otrzymywały wielkie brawa od publiczności.

Królowie i Kulesza

Wiele znanych osób pojawiło się w Szwajcarii na trybunach kobiecego Euro. Był król Belgii, przyszedł król Anglii, nie zauważono natomiast prezydenta elekta Karola Nawrockiego – a szkoda, mógł przyjechać ze swoimi kumpłami z Lechii Gdańsk, z którymi uczestniczył w słynnej ustawce, i spuścić w pierdol Niemcom, Szwedom i Duńczykom, zanim ich reprezentacje wybiegły na boisko.

Na moment wpadł na kobiece Euro Cezary Kulesza – tylko po to, żeby zapewnić dziennikarzy, że ma już w głowie nazwisko trenera męskiej reprezentacji, i wzbudzić kolejną falę domysłów i spekulacji.

Prezes PZPN jak gdyby zapomniał, że w Szwajcarii odbywa się święto kobiecej piłki. Na temat selekcjonerki żeńskiej drużyny nie chciał się wypowiadać, a kontrakt z Niną Patalon kończy się z ostatnim gwizdkiem mistrzostw Europy. Trochę się tego obawiam.

Zabawa w wybieranie selekcjonera reprezentacji jest ulubioną rozrywką Cezarego Kuleszy. Droczy się z dziennikarzami, a za ich pośrednictwem z kibicami, napawa faktem, że może sam, bez żadnych konsultacji, podejmować decyzję i wzbudzać powszechne zainteresowanie. Tak było wcześniej, przy wyborze poprzednich selekcjonerów, tak jest teraz.

Dopóki kobiecą reprezentacją kraju nie interesował się pies z kulawą nogą, Nina Patalon mogła być spokojna o posadę. Sukces, jakim był awans do finałów mistrzostw Europy, udział Polek w pierwszym

wielkim turnieju, zmieniły sytuację. Nagle Ewa Pajor i jej koleżanki znalazły się w centrum zainteresowania. Kulesza będzie mógł pokazać swoją władzę. A on to bardzo lubi.

Jak to się stało, że polskie piłkarki zaczęły dobrze grać, opowiedziałaby wam najlepiej sama trenerka Nina Patalon. To mądra kobieta, wpajająca zawodniczkom swoją najważniejszą dewizę: każdego dnia musicie być lepszą wersją samych siebie. Nie tylko pod względem sportowym. Także jako ludzie. Dlatego piłkarki spod jej ręki wychodzą nie tylko coraz lepiej wyszkolone technicznie i taktycznie; większość z nich nie zaniedbuje kształcenia i w ogóle mają dobrze poukładane w głowach.

Męska sprawa?

W żeńskim polskim futbolu stał się cud, niemożliwy chyba wśród mężczyzn. Chodzi mi o ciągłość szkolenia. Nina Patalon, wcześniej zawodniczka, zaczęła od trenowania junierek w swoim klubie Medyk Konin, a później pierwszego zespołu tego podówczas najsilniejszego w naszej lidze klubu. W tym czasie wciąż się uczyła i – jako jedyna Polka – uzyskała trenerską licencję UEFA Pro.

Jako selekcjonerka prowadziła wszystkie reprezentacje, począwszy od 15-latek, poprzez 17-latkę i 19-latkę, zanim zaczęła pracować najpierw jako asystentka trenera kadry senierek, później tymczasowa jego zastępczyni i wreszcie w marcu 2021 r. namaszczono ją – jako pierwszą Polkę w historii – na funkcję, jaką obecnie zajmuje. Krótko więc, większość zawodniczek Nina Patalon zna od dziecka.

Jeśli komuś – myślę tu o działaczach PZPN – przyjdzie do głowy naruszyć budowaną przez lata konstrukcję, popełni zbrodnie na sportowym organizmie. Ktoś powie: niby dlaczego po udanym – bo był to na pewno udany – występie na mistrzostwach Europy można zmienić selekcjonerkę. Otóż może się tak zdarzyć. Popularność, jaką zdobyła kobieca reprezentacja, jej zawodniczki i selekcjonerka, to łakomy kąsek w sytuacji, gdy mężczyźni zawodzą na całej linii: i sportowo, i wizerunkowo.

Polski futbol to, jakoby, wyłącznie męska sprawa. W ponad 100-letniej historii PZPN w zarządzie związku raz tylko znalazła się kobieta: Marta Pajączek za drugiej kadencji prezesa Zbigniewa Bońka. Jak przysłała, robiła tam za małpkę w cyrku. Ona chciała działać, a wokół wszyscy tylko gadali. Podczas niedawnego zjazdu sprawozdawczo-wyborczego nie zawracano już sobie głowy kobietami. Fakt, że żadna nie będzie szarogęsić się w naszym futbolu, działacze piłkarscy uznali za zwycięstwo w konflikcie Cezarego Kuleszy z ministrem sportu Sławomirem Nitrasem.

Bez całowania prosimy!

Godność sportsmenek jest czymś, o co trzeba dbać, bo często jest naruszana, nie tylko w futbolu. Wystarczy przypomnieć finał mistrzostw świata w 2023 r. Hiszpanki zdobyły tytuł, uradowany prezes federacji Luis Rubiales na podium ucałował Jennifer Hermoso w usta, co oglądano na ekranach telewizorów w wielu krajach. Prezes musiał pożegnać się ze stanowiskiem. Życzę sukcesów naszym piłkarkom, ale nie życzę, żeby prezes Kulesza całował je w usta.

Choć zdecydowana większość sukcesów polskiego sportu to dzieło kobiet, prawicowa część władz stara się je zepchnąć na margines. Dość przypomnieć, że prezydent Andrzej Duda (namawiany do tego przez działaczy PZPN) odmówił podpisania przyjętej przez parlament zmiany ustawy o sporcie. Miała ona dać większy wpływ zawodnikom na władze związków, gwarantować udział w nich pań, nie mówiąc już o ochronie trenujących dzieci i kobiet w ciąży.

Zastanówcie się, prawicowi męscy szowiniści: gdzie byłby polski sport, gdyby nie było w nim Igi Świątek, Natalii Bukowieckiej, Aleksandry Mirosław i – na pewno! – Ewy Pajor, Kingi Szemik, Natalii Padilli-Bidas (strzelczynie pierwszej bramki w historii naszej żeńskiej piłki na mistrzostwach Europy), Eweliny Kamczyk. Aż głupio wymieniać tylko niektóre nazwiska, bo na brawa i podziękowania zasługują cały zespół.

Polki były bodaj najmłodszą drużyną na Euro w Szwajcarii. Macie na nią chuchać i dmuchać!

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Mieczińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i źródła wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 16.07.2025 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Nie muszę pracować – mówi prezydent Andrzej Duda.

Głos ma słaby. Tak słaby, że nie zdołałby zainteresować nawet Mastalerka. A co dopiero Agaty Kornhauser-Dudy, która siedzi naprzeciwko męża, patrzy na niego uważnie i nic nie mówi.

– Odpocznę sobie – mamrocze Duda. – Jak Hołownia...

Prezydentem Duda przestanie być za dwa tygodnie, nic więc dziwnego, że myśli o przyszłości oraz o swoim w niej miejscu. Dudzina milczy.

– Tak, najpierw odpocznę, a potem się zobaczy – upewnia się Duda. – Może udam się na jakiś dłuższy urlop...?

Dudzina mruga powiekami, ale niezbyt często.

– Chyba że Kaczyński przedstawi realny plan włączenia mnie do krajowej polityki. Wówczas się zastanowię.

Usta Dudziny układają się w niewyraźny ciup.

– A właściwie nie Kaczyński, bo jego pozycja jest coraz słabsza. Może Czarnek?

Dudzina wygląda jakby chciała ziewnąć, lecz się powstrzymuje.

– A może w ogóle nikt z PiS-u? Może postawić na Konfederację? Szczerze mówiąc, wolałbym rozmawiać z Mentzenem niż z Czarnkiem. Z prezesem Mentzenem...

Częstotliwość mrugania Dudziny wzrasta. To najwyraźniej obrona przed zaśnięciem.

– Nie muszę od razu być premierem... A co powiesz na przykład na stanowisko ministra spraw zagranicznych? Nieźle jak na początek, co? – pyta Duda.

Nie wiadomo, co sądzi o tym jego żona, bo nie odzywa się ani słowem.

Prezydentowi skończyły się pomysły na przyszłość. Głowę ma wypełnioną obrazami szubienic, na których dyndają sędziowie.

– Koryfeusz prawa... – szepcze, robiąc miny klauna cierpiącego na rozwołnienie.

Dudzina podnosi brwi. Trwa to najwyżej sekundę.

– Niezawisli sędziowie. – Rozwołnienie się nasila. – A właśnie, że zawisli!

Klaun otwiera usta, stawia oczy w ślup, a potem bezgłośnie się śmieje.

Pierwsza dama nie ulega takim emocjom jak mąż.

– Idę do toalety – mówi Duda, wstaje i razem z klaunem wychodzi z sypialni.

Na dźwięk zamykanych drzwi Dudzina sięga po komórkę i wybiera numer.

– Jak zwykle pieprzył o tym, że chciałby być premierem – mówi po powitanium.

– Jakby go pokrzywy poparzyły...

Słychać, jak ktoś w komórce wybucha perlistym śmiechem.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN wróciła z Włoch, a **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** z Londynu. Wreszcie się spotkały.

Wołk-Łaniewska: – Mogę poopowiadać o Londynie? Obiecałaś...

Senyszyn: – No, skoro obiecałam...

– Polecałyśmy tam na koncert australijskiego artysty Tima Minchina, który pisze i śpiewa genialne kawałki, wymierzone w Kościół, tradycję, religię i generalną sztywność myślową. Moja ukochana piosenka Minchina – której zresztą w Londynie nie zaśpiewał, co mnie nieco oburzyło – nosi tytuł „Płot”.

– I jest o płocie?

– W zasadzie o barykadzie. Bo to jest obrona płotu w sensie metaforycznym, z wyrażenia „to sit on the fence”, czemu po polsku odpowiada idiom „siedzieć okrakami na barykadzie”. Generalnie pieśń jest o tym, że świat nie jest czarno-biały. Minchin nazywa to „hymnem ku czci ambiwalencji”, a ja bym nazwała hymnem symetryzmu. „Im więcej wiesz, tym trudniej zdecydować, po której stronie trawa jest bardziej zielona. Może po żadnej, co najłatwiej zobaczyć, siedząc na płocie”. Znaczący na barykadzie. Kiedy mnie pytają, do jakiego gatunku zaliczyć Minchina...

– No właśnie?

– Nie mam pojęcia. I on też nie, co powiedział na tym koncercie: że z okazji 20-lecia kariery zrobił sobie prezent i postanowił już nigdy nie odpowiadać na pytanie, do jakiego gatunku należy zaliczyć jego twórczość. Pewnie najbliższej byłoby mu do tego, co Młynarski nazywał „felietonem śpiewanym” – z tym że Minchin potrafi śpiewać swoje felietony z wielką orkiestrą symfoniczną.

– Młynarski też miał orkiestrę, choć raczej estradowe.

– Prawda. W każdym razie trasa koncertowa zatytułowana jest „Piosenki, których świat nigdy nie usłyszy”.

– Tytuł, najdelikatniej mówiąc, bałamutny...

– Można to tak ująć. 50 koncertów w UK i Australii, i wszystkie są wyprzedane. My byliśmy w czymś, co się nazywa Apollo w Hammersmith, jest na 5 tys. gości i nie było ani jednego wolnego miejsca.

– To mi przypomniała sztukę „Apollo z Bellac” Jeana Giraudoux. Obejrzałam ją w teatrze telewizyjnym jako nastolatka i zrobiła na mnie piorunujące wrażenie ze względu na jej przesłanie: że mężczyznom wystarczy mówić, że są piękni, aby ich całkowicie zniewolić.

– Dawno, dawno temu wybitny socjolog, obecnie już profesor, Włodzimierz Pańków, powiedział mi coś, czego trzymam się do dzisiaj: kobietę można kupić dobrym komplemencem. Mężczyznę – każdym. Ale prawdą jest, że komplementy pod adresem urody działają na mężczyzn najlepiej.

– Wiem, wypróbowałam to kilka razy, zawsze ze znakomitym skutkiem.

– Ja w ten sposób uwiłdłam pewnego wybitnego adwokata. Mogę już opowiedzieć, bo się przedawniło, to było ze 30 lat temu. Wpatrywałam się w niego tak natrętnie, że poczuł się nieswojo, a jak już zaczął się wiercić, wygłosiłam tekst następujący: „Przepraszam, że się panu tak przyglądam, ale jest pan najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziałam”.

– Dobrze! A co on na to?

– „To znaczy, że kobieta tak młoda jak pani niewiele w życiu widziała”. Dziś bym uznała, że to protekcyjnie patriarchalne, ale wtedy jeszcze nie miałam tak rozwiniętej świadomości feministycznej.

– A ile miałaś lat?

– 21.

– A on?

– 50. Ale naprawdę był piękny. A propos – i wracając do Londynu – starzy Anglicy mi się podobają. Niektórzy. Ci, co są płowi, wysuszeni, poorani i generalnie „posh”. To kolejny

z powodów, dla którego Londyn awansował na moje ukochane miejsce na ziemi. Poza Minchinem byliśmy na Szekspirze, rejsie po Tamizie, festiwalu marksistowskim z udziałem Jeremy’ego Corbyna, o czym pisałam w zeszłym tygodniu, i na spacerze śladami Marksa, o czym napiszę za tydzień.

– Ilekrót jestem w Brukseli, idę na Grand Place do kawiarni, w której Marks pisał jeden z tomów „Kapitału”. Niestety, nie wiem, czy akurat ten, którego dotyczy słynna anegdota. Ponoć wydawca zdenerwowany, że Marks bardzo się opóźnia ze złożeniem do druku kolejnego tomu, zagroził mu, że jeśli nie da rękopisu do kolejnej wyznaczonej daty, zamówi tekst u kogoś innego.

– Bo Marks nie znosił deadline’ów. Do tego stopnia, że – jak nam wyjaśnił nasz cudny przewodnik Mark Bygrave – stawał się fizycznie chory, kiedy zbliżał się termin oddania pracy. „Manifest komunistyczny” miał oddać przed Gwiazdką, a z trudem zdążył na Wielkanoc. A jak twoje Włochy?

– Cudne, choć 40 stopni w cieniu. Byliśmy cztery dni w Maceracie. Wyobraź sobie, że Rzymianie byli tu już w III-II w. p.n.e. Hotel, w którym zatrzymała się nasza rozrywkowa, siedmioosobowa grupa, to przystosowany dla turystów dawny Palazzo Corteze, czyli rezydencja miejscowych notabli zbudowana około 1580 r. w centrum miasta i zarazem w jego najwyższym punkcie. Wszędzie lekko się zbiegało uroczymi wąskimi uliczkami. Gorzej było z powrotem, więc za dużo nie chodziłam. W dzień tylko do knajpki obok hotelu, jedynej czynnej, bo do wieczora miasteczko jest wymarłe. Za to wieczorem mieszkańcy i turyści wylegają na ulice, zapelniają restauracje i zaczyna się nie tylko wielkie, ale i pyszne żarcie.

– Nie mów, że się tylko szlajałaś po knajpach, bo widziałam mema, jak siedzisz z nieco nabzdyczoną miną na szezlongu w salonie meblowym. Napis brzmiał: „Kiedy pojechałaś z rodzicami na pulpeciki, ale jesteście szóstą godzinę w dziale z pawlacami”.

– Faktycznie jednego dnia pojechaliśmy do słynnej w świecie fabryki mebli kuchennych LUBE, bo moja przyjaciółka Magda jest jej przedstawicielką na Polskę. Wyobraź sobie, że choć właściciele tej rodzinnej firmy są prawicowi, to dbają o pracowników lepiej niż u nas tzw. lewica.

– To akurat chyba nietrudne. Sama mówiłaś, że wielu posłów od Czarzastego zatrudnia pracowników biur na umowę-zlecenie zamiast na etat, były też oskarżenia o mobbing. Zmieniając temat: oglądałaś wodowanie Sławosza?

– W powtórce.

– To inaczej niż premier Tusk, który oglądał na żywo i bardzo się emocjonował. Do tego stopnia, że nakręcił i powiesił w necie filmik, jak się ekscytuje, że „to jest ta kapsuła!”, a potem wygłasza błyskotliwe uwagi w stylu: „Mam nadzieję, że on umie pływać”. Od razu widać, że rząd ma rzecznika, który dba o jego wizerunek.

– A ty oglądałaś?

– Niechęć, bo zawsze przy pracy mam włączony Tefalen bez głosu i akurat rzuciłam okiem. I otóż jak ta kapsuła już się wpięrzyła do wody, to wiesz, czym ją wydobywali?

– Nie wiem.

– Za przeproszeniem bosakiem. Ćwierć miliarda dolarów, świat patrzy, kosmos zdobyty, a ci łowią tych pogromców przestrzeni jak ponton, kiedy bobry przegrzyły cumę. To bodaj Neil deGrasse Tyson – taki cudny, choć amerykański astrofizyk – powiedział ostatnio w kontekście bajdurzenia Muska o kolonizacji Marsa: że jeśli ludzkość byłaby w stanie uzdatnić do życia Marsa, to dałaby też radę naprawić Ziemię. Jak obejrzałam ten bosak, to sobie myślę że do jednego i do drugiego jest jeszcze daleko...

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl



Ilustr. PAWEŁ FERENC

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI